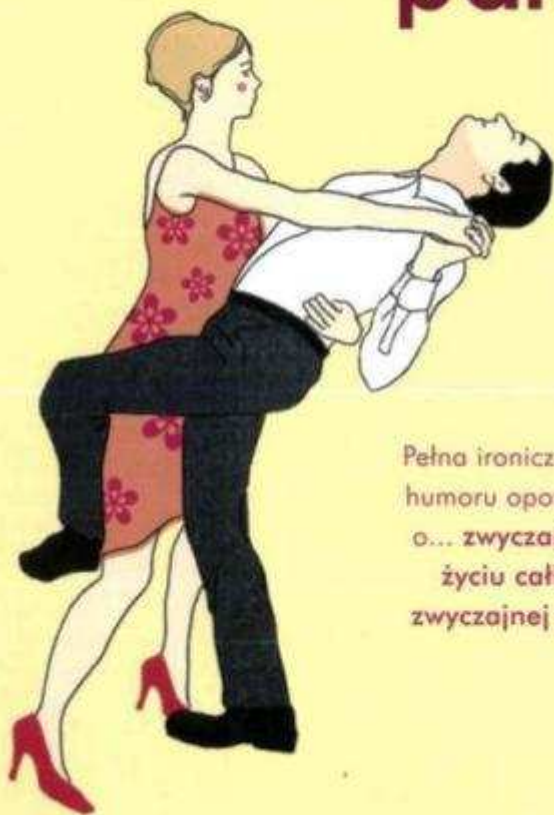


isabelle minière

zwyczajna para



Pełna ironicznego
humoru opowieść
o... zwyczajnym
życiu całkiem
zwyczajnej pary



Béatrice myli seks z gimnastyką, a miłość z władzą. Jej uroda niczego nie zmienia: kochanie się z nią stało się dla niego męką...

Benjamin wskutek codziennych kompromisów czuje, że już na nic nie ma wpływu. Jedynym promykiem słońca w jego życiu jest córeczka. Groźba rozstania z nią sprawia, że jest zmuszony do przytakiwania żonie. Lektura pewnej książki Plutarcha otworzy mu wreszcie oczy, posłuży za przewodnik, wstrząśnie jego życiem.

Benjamin wyzwala się z uległości wobec żony dzięki swemu poczuciu humoru i bezbrzeżnej czułości, którą uwodzi czytelniczki. Ta książka to sukces.

COTE FEMME

Ta poruszająca i pełna czułości powieść zachęca – co nie jest takie częste – do opowiedzenia się po stronie mężczyzny.

LE PROGRES

Powieść napisana w formie żywego dialogu jest znakomitym materiałem na film.

LE NOUVEL OBSERVATEUR

Krótką powieść Isabelle Minière, pełną sily i odwagi, jest prawdziwą perłą.

L' INDEPENDENT

Isabelle Minière (ur. 1961 r.) jest z wykształcenia psychologiem, ale pisanie stało się jej pasją już we wczesnej młodości. Jest autorką kilku cieszących się powodzeniem powieści, m.in. *Le Soupirant* (2001), *Méthode infailible contre l'adversité* (2002) *Cette nuit-là* (2004). Ma troje dzieci. Obecnie mieszka w Paryżu.



Jacek Santorski & Co
Agencja Wydawnicza

www.jsantorski.pl

cena: 24,90 zł



isabelle minière

zwyczajna
para

przełożyła Angelina Waśko-Bongrraud

Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza
Warszawa 2009

Tytuł oryginału UN COUPLE ORDINAIRE

Redakcja Grażyna Mastalerz

Projekt okładki Marta Malesińska

Korekta Ewa Jastrun

Skład i łamanie Marcin Labus

Copyright © Le Dilettante, 2005

Published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est”.

Copyright © for the Polish edition by Jacek Santorski & Co

Agencja Wydawnicza, 2009

Wydanie I

Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwofajjsantorski.pl

Dział handlowy: tel. (022) 616 29 36, 616 29 28

faks (022) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego: www.jsantorski.pl

Druk i oprawa OpolgrafS.A.

ISBN 978-83-7554-085-7

Dla Virginie, Soline i Marine

[...] niektórzy ludzie myślący z równym przerażeniem o tym, że będzie się o nich często mówiło źle, jak i o tym, że wyrządzi się im jakieś zło, stali się tchórzami i zboczyli z właściwej drogi, będąc niezdolni znosić pogardę.

Któregoś dnia napotykasz kogoś gadatliwego, kto cię dopada i zagaduje na śmierć. Nie bądź nieśmiały, przerwij mu od razu i powróć do swoich zajęć. Uniki i odmowy, które uczą przewycięzać nieśmiałość, narażając na drobne zarzuty, przygotowują nas do sytuacji o większej doniosłości.

[...] wykuwamy swoje zasady, posługując się nimi.

Plutarch, O cnocie i wadzie

Nie przypisujemy innym dziwactw, którymi sami jesteśmy dotknięci.

Plutarch, De capienda ex inimicis utilitate

(Jak wykorzystać swoich wrogów)

Spis treści

1. Objawienie nad stolikiem do salonu	11
2. Przepowiednie sufitu	18
3. Pilnowanie Baranów	30
4. Freudowski talizman	42
5. Miłość zamiast wojny	50
6. Nie!	57
7. Rzeźbiarz i scenarzysta	65
8. Zagrożony króliczek	73
9. Niedole zwyczajnego królika	80
10. Filozofia afrodyzjakalna	88
11. Uparta poduszka	98
12. Siki rybek	106
13. Zdjęcie pod kanapą	113
14. Wezwanie do dyrektorki	123
15. Pułapka na szczury	129
Test - zabawa: Jak ma się twój związek? Czy jesteście zwyczajną parą?	139

1. Objawienie nad stolikiem do salonu

Nie wiem, jak to się zaczęło; wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Od jakiegoś czasu czuję, że coś jest nie tak, ale nie wiem dokładnie co. Brakuje mi słów, żeby to wyrazić. To tylko niesprecyzowane wrażenie, trudne do nazwania - rodzaj niepokoju. Coś bliżej nieokreślonego.

Rozglądam się wokół i zastanawiam, co ja tutaj robię.

Oczywiście wiem, że jestem w sklepie, jeszcze nie zwariowałem - przynajmniej nie do tego stopnia. Wiem również, że jestem tutaj, bo Béatrice chciała, żebym z nią przyszedł - „Potrzebuję twojej opinii, Benjamin!”. Wiem nawet, że była mowa o kupieniu stolika do salonu.

Mimo to zastanawiam się, co tu robię.

Nie opierałem się, przyszedłem z własnej woli, ale nie wiem po co. Nie mam własnego zdania na temat stolików do salonu. Ale skoro Béatrice chce znać moje zdanie, będę musiał wybrać ten bądź tamten...

Nagle ogarnia mnie zniechęcenie, nagle, pośrodku sklepu: jest ich tyle. Stoły do salonu, wszędzie, ze wszystkich stron; prawdziwy ocean stołów, a ja jestem statkiem, zagubionym, zdezorientowanym.

Na szczęście podchodzi do nas sprzedawca. A może raczej do Béatrice? To wydaje się bardziej prawdopodobne.

Patrzę na ławę stojącą przede mną, usiłując się nią za interesować. Sprzedawca wyobraża sobie natychmiast, że ta ława mi się podoba.

- Ładnie się prezentuje, prawda?

Nie zaprzeczam.

- Ten model ma ładne, bardzo czyste linie, prawda? Ale to drewno... To drewno to nie jest to...

- To nie jest drewno?

- Tak, tak, to drewno. Ale jest drewno i drewno. Przysiąc by można, że to masywne drewno, prawda?

Tak naprawdę to niczego bym nie przysięgał, ale skinąłem głową.

- A więc nie, proszę pana, przykro mi. W kwestii jakości należy być uczciwym wobec klientów: to drewno to iluzja. Ono jest w środku puste. Drewno jest tylko na wierzchu. Stanowi ładne pokrycie, nieprawdaż, ale to jest pełne drewno...

Nie wiem, co się ze mną dzieje... Ale nagle w tej częściej gadaninie sprzedawcy coś przyciąga moją uwagę. To tak, jakby tą swoją historią o pełnym drewnie nacisnął odpowiedni guzik.

Jestem zaintrygowany. Muszę tę sprawę wyjaśnić.

- Chce pan powiedzieć, że jest w środku puste?

- Właśnie. Kiedy na nie patrzymy, wydaje się nam, że jest pełne, ale wewnątrz jest puste. Nieprawdaż?

Nieprawdaż? Nieprawdaż co?

Ogarnia mnie nagle dziwne uczucie: to „nieprawdaż?” odnosi się do mnie, do mnie samego.

Kręci mi się w głowie. Rozumiem już wszystko. Już nie widzę rzeczy niewyraźnie. Sprzedawca mówi o mnie. Nie wie o tym, ale to właśnie mnie opisał. Odczuwam to jak objawienie.

Nieprawdaż?

Tak, oczywiście, że tak, to jest to. Taki jestem, jestem dokładnie jak ta ława. Ława i ja jesteśmy z tego samego drewna. Przypatruję się sprzedawcy, chcąc go przejrzeć, i instynktownie ściszam głos, jakbym zwierzał mu się z intymnych spraw.

W istocie: to, co mówię, jest bardzo intymne.

- Pozory mylą, z zewnątrz coś dobrze się prezentuje, stwarza iluzję, ale w środku... jest puste.

Puste... Wymawiając te słowa, zdaję sobie sprawę, że wszystko już zostało powiedziane.

Czuję się taki pusty... Nic tylko powłoka, tylko dekoracja, ale w głębi, za tą teatralną dekoracją, nie ma nic. Nie ma już nic. Musiałem się gdzieś po drodze zagubić i nawet tego nie zauważyłem.

Jestem w szoku. To objawienie mnie oszałamia. I wprowadza zamęt w umyśle. Podejrzewam, że gdyby jakiś chirurg otworzył moje ciało, byłby zbity z tropu: nic do zoperowania, żadnych wnętrzności, ani serca, ani płuc...

Po chwili odzyskuję rozum. Chirurg znalazłby wszystko co trzeba na swoim miejscu. Jestem pusty inaczej. Moje ciało jest na chodzie, ale nikogo w nim nie ma. Choć z zewnątrz tego nie widać - zupełnie tak jak z ławą.

Puk, puk! Jest tam ktoś? Czy jest ktoś w środku?

Nie ma nikogo...

- Benjamin? Rozmarzyłeś się?

Wracam do rzeczywistości: Béatrice patrzy na mnie z wyrozumiałą miną. Przy ludziach nigdy nie wygląda groźnie...

- Myślami byłem gdzie indziej... Co mówiłaś?

- Nic! Nic nie mówiłam, czekałam, aż wrócisz na ziemię!

Uśmiecha się. Na pewno do sprzedawcy. Béatrice lubi się podobać. Zresztą wszystkim bardzo się podoba.

- A więc... - mówi sprzedawca - czy ta ława państwa interesuje? Béatrice wydyma wargi - robi to bardzo dobrze.

- Nie - odpowiada. - Na pewno nie. Nie jest w dobrym guście.

Oddała się w kierunku innych ław, bez wątpienia w lepszym guście. Szkoda. Chciałbym mieć ławę na swoje podobieństwo. To była okazja, żeby mieć coś, co byłoby do mnie podobne...

Béatrice bierze sprawy w swoje ręce, zadaje pytania sprzedawcy, potem zwraca się do mnie:

- Benjamin, a co sądzisz o tej?

Nic nie sędzę. Patrzę na ławy z pełnego drewna i żałuję tamtej.

- A ta? Nie uważasz, że jest ładna?

- Tak, tak...

- Tym lepiej, bo ja jestem nią zauroczona.

Sprzedawca też jest zauroczony. Uśmiecha się błogo do Béatrice. Zastanawiam się, czy on też nie jest trochę pusty. Czy jest nas wielu - pustych w środku?

- Jest piękna, prawda?

Tym razem sprzedawca mówi o Béatrice, nawet jeśli tego nie wie. Ona się z nim zgadza.

- Tak, jest przepiękna, ma wielką klasę.

Morał z tego jest taki: jeśli chcecie się o sobie czegoś dowiedzieć, udajcie się do sklepu meblowego. Zostaniecie dobrze poinformowani.

- Benjamin, chciałabym, żebyśmy zdecydowali razem. Mam dosyć decydowania za ciebie.

Mówi to za każdym razem, ale jeśli uważam inaczej niż ona, robi awanturę. Nie lubię awantur. Nie lubię również krzyków.

Ten stolik czy tamten, jakie to ma znaczenie?

Walczyć trzeba o rzeczy, które są tego warte. Ale co jest warte troski?

Płacimy rachunek i ładujemy ławę do samochodu (model z wystawy, ostatni egzemplarz, który o mało co nie przeszedł nam koło nosa; ale mamy szczęście, nieprawdaż). Wykonuję machinalne gesty, a jednocześnie zastanawiam się, czy jest w moim życiu choćby jedna rzecz warta tego, żeby o nią walczyć.

Tak, jest jedna - i to nie rzecz.

Marion...

Marion jest tego warta. Jest warta troski, z jaką nagle o niej myślę. Marion zasługuje na to, żeby mieć pełnego tatę, a nie takiego pustego.

- O czym myślisz, Benjamin?

- O niczym...

- O niczym? Mogę zatem wiedzieć, czemu masz taką grobową minę?

Coś podobnego! Rzucam okiem w lusterko kosmetyczne (Béatrice mówi, że tak się nazywa to małe lusterko w samochodzie). Powiedziałbym raczej, że wyglądam jak trup. Źle wyglądam, jestem pusty i trupioblady.

- Nie, zamyśliłem się tylko, to wszystko.

- Znowu! Za często się zamyślasz! Benjamin, coś z tobą jest nie tak. Musisz się wziąć w garść.

Biorę swoją lewą rękę w prawą garść.

- Już się wziąłem.

- To wcale nie jest śmieszne. Udajesz sprytnego, Benjamin, ale unikasz rozmowy.

- Słucham cię.

- Musimy odbyć prawdziwą rozmowę, porozmawiamy o tym w domu. Możesz mi otworzyć garaż?

Nawet nie zauważyłem, że już dojechaliśmy. Od jakiegoś czasu to ona prowadzi, ponieważ robi to dużo lepiej ode mnie, lepiej radzi sobie z parkowaniem, zawsze znaj duje dobre miejsce i ponieważ przy moim prowadzeniu któregoś dnia będziemy mieli wypadek, ponieważ zastanawia się, gdzie się uczyłem prowadzić, ponieważ...

Czasem myślę, że jeśli od czasu do czasu nie dopuści mnie do kierownicy, to całkiem zapomnę, jak się to robi. Ale nie będziemy się przecież bić o to, kto ma prowadzić, to nie jest warte zachodu...

Tylko Marion jest warta zachodu.

Biorę się za to tak niezdarnie, że niemal uderzam ławą o schody.

- Ależ Benjamin!

Ależ-Benjamin stawia drewnianą ławę na dywanie w salonie, nie uszkadzając niczego, co jest dużym osiągnięciem, biorąc pod uwagę jego niezręczność.

- Ależ nie w tę stronę!

- Ach? Tak myślisz?

- Przecież to oczywiste!

- Dobrze... skoro tak uważasz.

- Benjamin, nie znoszę tego!

- Tego czego?

- Tego, co powiedziałeś przed chwilą! Mówisz do mnie tak, jakbym była kapryśną babą, której lepiej się nie sprzeciwiać. Jeśli się ze mną nie zgadzasz, to powiedz to otwarcie. Nie bądź obłudny.

- No więc... Widziałbym raczej ławę postawioną wzdłuż, równoległe do ściany, mniej... mniej na widoku.

- Nie chcesz, żeby ją było widać? Wstydzisz się jej? Przypominam ci, że wybrałeś ją razem ze mną. Jeśli kupiłeś ją po to, żeby teraz chować, to nie było warto zadawać sobie tyle trudu!

Nie, nie warto, nie warto zawracać sobie tym głowy.

- Tak naprawdę jest mi to obojętne, i tak, i tak jest dobrze...

- Skoro sam mówisz, że jest ci to obojętne, to pozostaw mi wybór, bo mnie nie jest to obojętne. Poza tym jestem u siebie tak samo jak ty.

A nawet bardziej.

Nagle znowu odczuwam zawrót głowy, bardzo łagodny, bardzo spokojny. Zdaję sobie teraz sprawę: mieszkam u Béatrice. Dwa objawienia w cenie jednego. Powinniśmy kupić ławę wcześniej. To niesamowite, czego można się o sobie dowiedzieć, zmieniając meble. Warto to doradzić przyjaciółom - jeśli takowych się ma.

- Benjamin, zamiast stać jak słup soli, może poszedłbyś kupić pizzę? Bo ja mam gotowania potąd! W tym czasie pójde do Marion do sąsiadów. Masz rację, ci ludzie są bardzo mili, ale ograniczeni. W ogóle nie można z nimi porozmawiać.

Wolałbym pójść po Marion zamiast po pizzę. To już trzecia pizza w tym tygodniu. Facet nie mówi mi już do widzenia, tylko do zobaczenia wkrótce!

2. Przepowiednie sufitu

W drodze powrotnej, z pizzą w ręku, spotykam klienta, który spaceruje z psem. Oczywiście rozmawiamy, oczywiście odpowiadam mu. Pyta, co sądzę o homeopatii. Sądzę, że homeopatia może mi zaszkodzić, jeśli wdam się w dyskusję. Mówię, że to byłaby zbyt długa rozmowa, niech przyjdzie do mnie do apteki. I przepraszam: pizza stygnie, a moja córka jest głodna. Doskonale to rozumie: „Jak dzieci są głodne, to nie należy kazać im czekać, bo potem nic nie zjedzą. Szybko, niech pan zmyka!”.

Zmykam.

- Benjamin, co tak długo robiłeś! Już się zastanawiałam, czy wrócisz.

Chcę odpowiedzieć: „Nie kuś mnie!”, ale w samą porę słyszę wołanie.

- Tato!

Stoi ze słonecznym uśmiechem, z promienną twarzą. Biorę ją w ramiona.

- Dobrze się bawiłaś u Sophie?

Opowiada. Gry, kłótnie, pogodzenie się, podwieczorek, mały kotek, który drapie, ale nie rani, bo jest malutki... To nie jest być może zbyt ciekawe, ale mnie interesuje. Interesuje mnie bardzo. Ona jest

taka żywa, taka szczerą w tym, co mówi. Ja nie jestem tak zaangażowany w to, co mówię; jakby tak naprawdę mnie to nie dotyczyło. Jakbym był bar dziej widzem niż uczestnikiem swojego życia.

- A ty, tato? Fajnie było w sklepie?

- Fajnie, tak, bardzo fajnie...

Całuje mnie w policzek. Dostaję donośnego, oślinione go buziaka.

Nagle mam pewność: dla niej jestem kimś. Ona nie wie... lub jeszcze nie wie?

Kogo widzisz, kochanie, kiedy mnie widzisz? Powiedz mi, kim jestem? - myślę. Ale mówię tylko:

- Pamiętałem o tobie, Marion, przed chwilą z myślą o tobie poprosiłem o same zielone oliwki, żadnych czarnych!

- Kupiłeś oliwki?

- Nie, kupiłem pizzę na kolację.

- Znowu!

Moje kochanie, lepiej byś zrobiła, gdybyś się w tym momencie nie odezwała. Posłuchaj swojej matki:

- Marion, nie jestem wyłącznie do waszej dyspozycji, nie mogę ciągle przygotowywać wam dobrych dań. Albo gotuję, albo piszę... Jeśli wolisz, żebym spędzała czas w kuchni... Wiele małych dziewczynek marzyłoby o tym, żeby ich mama pisała książki dla dzieci. Nie podobają ci się historie, które wymyślam, Marion?

- Podobają... Ale mam trochę dosyć pizzy.

- Tak, ale ta - mówię jej na ucho - będzie dużo lepsza: zamówiłem superluksusową. Będziesz się nią zajadać, moje małe kochanie.

- Benjamin, proszę cię!

Patrzę zdziwiony na Béatrice. Co takiego znów zrobiłem?

- Nie nazywaj tak Marion. To brzmi kazirodczo.

Na szczęście chwilę wcześniej postawiłem Marion na podłodze, inaczej chyba bym ją upuścił.

- Słucham? !

- Nie zdajesz sobie z tego sprawy, wiem doskonale, Benjamin, ale ojciec nie powinien nazywać córki swoim kochaniem. To są słowa adresowane do kobiety, a nie do dziecka.

- Nie powiedziałem „moje kochanie”, powiedziałem „moje małe kochanie”.

- I co z tego? Ona słyszy, że jest twoim kochaniem, małym czy nie. Każdy psycholog powiedziałby ci, że to nie zdrowe. To fałszywie określa jej miejsce. Nawet jeśli nie takie są twoje intencje, może sobie wyobrażać, że w twoich oczach zajmuje miejsce kobiety. Marion przechodzi teraz fazę edypalną. To nie jest odpowiednia chwila, żeby wprowadzać w jej umyśle zamieszanie.

- Mam chyba prawo ją kochać?

- Benjamin, ty wszystko komplikujesz! Gdy tylko zrobię najmniejszą uwagę, zaraz źle to odbierasz. Należy ze sobą rozmawiać, w związku to jest niezbędne! Zresztą... Po kolacji, kiedy mała będzie w łóżku, musimy odbyć małą rozmowę. Ja już nie wytrzymuję! Mam potrzebę komunikacji. Marion, do stołu!

Nagle ogarnia mnie senność, mam ochotę się położyć, bez kolacji, bez pizzy, bez słów. Być tylko ciałem, które śpi.

Skoro utrzymuję, iż pizza superluksusowa jest przepyszna - mniem, nie uważasz, Marion? - muszę trochę zjeść.

Béatrice wypytuje Marion o opowiadanie, które ostatnio napisała. Zanim zaproponuje teksty wydawcy, poddaje je ocenie Marion. To dobry pomysł, bo moje małe kochanie zawsze potrafi wskazać fragmenty, które dziecko rozumie inaczej niż dorosły. Moje małe kochanie...

Dobrze się ze sobą dogadują, kiedy rozmawiają o bajkach, które Marion testuje. Béatrice słucha z dużą uwagą, nie przerywa Marion, interesuje się wszystkimi uwagami... To takie odprężające. Lubię ich słuchać, ich głosy brzmią jak muzyka.

Nagle... To wielki dzień, dzień wszelkich objawień. Przecież to widać, to oczywiste: Béatrice pracuje.

Ktoś przyglądający się tej scenie powiedziałby, że widzi matkę i córkę rozmawiające miło, wesoło i z zapalem. A jednak... Należałoby uświadomić widza, że dzieje się tu coś więcej. Béatrice pracuje: wygląda swój tekst, rozpatruje zmiany... Ta kobieta nie je kolacji, ona poprawia tekst. Marion jest jej asystentką, ale o tym nie wie. Tak oto zepsułem właśnie jedną z rzadkich chwil odprężenia, dobrze mi tak.

Jako że nie biorę udziału w rozmowie - Béatrice potrzebuje zdania dziecka, a nie mojego - zadaję sobie pytania.

Od kiedy? Od kiedy jestem taki pusty? Może nie zupełnie pusty, bo jest Marion... Prawie pusty. Jak się opróżniłem? Jak to się stało, że tego nie zauważyłem?

- Benjamin, wstaniesz czy każesz się obsługiwać?

Podobnie jak przed chwilą w samochodzie, nie spostrzegłem, że już dojechaliśmy... no, że skończyliśmy kolację. Przy stole też niczym nie kieruję. To kiedy ja właściwie kieruję?

Stół uprzątnięty, Marion umyta, gotowa do utulenia. Następuje wieczorny rytuał: opowiadanie bajki. Opowiadanie czyta mama. Ja bardzo źle czytam bajki, chcę nadać im odpowiedni ton, ale zapominam przy tym o właściwej intonacji oddającej zamysł autora, a to właśnie ten zamysł jest najważniejszy. „Ależ Benjamin! (śmiech) To

przecież nie recepta!”). Ponieważ źle czytam, zwykle tego nie robię, z wyjątkiem wieczorów, kiedy mamy nie ma w domu.

Tego wieczoru Béatrice czyta *O siusiu i kupie*. Marion zna tę historię na pamięć. Mnie robi się od niej niedobrze. Siusiu i kupa... Nie przepadam za tą książką. Za dużo w niej sików, za dużo kupy. Ale dzieciom się podoba, a ja podobno zatraciłem swoje wewnętrzne dziecko i zmysł dzieciństwa. Pozostaje mi zmysł aptekarza. Ale to jest mniej szlachetne.

To Béatrice czyta, ale ja mam prawo usiąść na łóżku - to jest moje miejsce - i słuchać. Taka jest moja rola.

Nie słucham. Myślę o reszcie wieczoru. Kiedy tak ściskam małą rączkę w swojej dużej ręce, przychodzi mi do głowy straszna myśl: czy nie zechciałabyś trochę zachorować, moje małe kochanie?... Tylko troszeczkę, żebym tego wieczoru miał jedną troskę przepędzającą wszystkie inne: pielęgnowanie ciebie. Kiedy jesteś chora, ja wszystkim kieruję.

Nie, nie choruj, moje małe kochanie, to byłoby tak, jakby moja niecna myśl cię zaraziła. Nie, śpij, mój anioł ku, moje serduszko, twój tato jakoś sobie poradzi... Twój tato... Twój pusty tato. A jak wypełnia się pustego tatę? Pizzą. Opowiadaniem o siusiu i kupie. Stolikiem-ławą do salonu. Czasami tak już jest, sam plotę sobie bzdury. Może po to, żeby wypełnić pustkę.

Patrzę na sufit, na cienie na suficie. To jest taki mój test Rorschacha. Albo raczej moje wróżenie z fusów, moja kryształowa kula. Widzę w niej, jak będzie wyglądać dal sza część wieczoru. Wszystko jest zapisane na suficie.

Ten cień o rozciągniętym kształcie, niczym guma do żucia, która została powyciągana, przeżuta i nie ma już żadnego smaku, ten właśnie cień to dyskusja nas dwojga w salonie przy nowej ławie. - Benja-

min, coś złego się z tobą dzieje. - Nie, nie, wszystko jest w porządku. - Wiesz, między Odile i Aurélienem pod koniec było strasznie: Aurélien w niczym już nie uczestniczył, to dlatego Odile go zostawiła. To dla niego straszne. Dzieci były dla niego wszystkim. Oczywiście to ona uzyskała prawo do opieki nad dziećmi, Odile wie, czego chce. Aurélien jest załamany, nie ma na nic ochoty. Pilnowanie dzieci co drugi weekend to mało, ale takie jest prawo. Gdyby w porę wziął się w garść, mógłby tego uniknąć. Ona go uprzedziła, ale on tego nie zrozumiał albo nie miał ochoty się zmienić. Słuchasz mnie, Benjamin? - Tak, tak, słucham cię... czego ode mnie oczekujesz? - Żebyś wziął się w garść, Benjamin! Nie będziesz przecież wiecznie pracownikiem otrzymującym stałą pensję? Zainwestuj! Kup aptekę! Nawet twój ojciec ci to mówi. Byłbyś swoim własnym szefem, nie byłbyś już podwładnym tego grubego wieprza. Benjamin, zrób to, Benjamin zrób tamto, a ty nic nie mówisz, kładziesz uszy po sobie, nie wiem, jak to znosisz... ja nie mogłabym żyć pod rozkazami tego grubego wieprzka. - Myślę o tym, Béatrice, ale nie czuję się gotów. Kiedy Marion podrośnie, będzie można to rozważyć, nie chcę wracać do domu, kiedy ona jest już w łóżku, nie chcę spędzać niedziel nad papierami, chcę mieć dla niej czas. - Boisz się odpowiedzialności, Benjamin. Zamiast być swoim własnym szefem, wolisz pozostać sprzedawcą leków. - Lubię to, co robię, ty też przecież sprzedajesz swoje opowiadania o siusiu i kupie, a czy to znaczy, że jesteś sprzedawczynią? - Powiedz od razu, że piszę szajs! - Tego nie powiedziałem. - Ale tak myślałeś. Jeśli pogardzasz moją pracą, miej przynajmniej od wagę to przyznać!

I tak dalej. Co najmniej przez godzinę. Cię na ścianie jest wystarczająco wyciągnięty, żeby wywróżyć mi całą godzinę próżnych dyskusji.

Rozmawialiśmy o tym już co najmniej ze dwadzieścia razy. Nie chcę kupować apteki. Ale chcę żyć obok Marion. Tak jakby była w tym jakaś sprzeczność...

Zatrzymuję wzrok na innym cieniu na suficie - razi swoją odmiennością. Jest to zbita, zwarta forma, rodzaj stosu. To ona i ja w łóżku.

Jako że się pokłócimy, trzeba będzie się pogodzić...

„Benjamin, potrzebujemy intymności, to jest sekret długotrwałych związków; intymność opiera się na kontakcie cielesnym, chyba się ze mną zgodzisz?”

Zgodzę się. Dyskretnie. Od jej gadaniny będzie mi się chciało spać i będzie mnie bolała głowa. I będzie mi się trochę chciało płakać, jak zawsze. I nie będę płakał, przecież jestem mężczyzną. Ona będzie chciała, żebyśmy się kochali.

„Musimy mieć udane życie seksualne, Benjamin, szczęście w związku polega na kontakcie cielesnym, chyba się ze mną zgodzisz?”

Poprosi mnie, żebym dotknął jej tu i tam, ale nie tak! Ależ Benjamin! Tak, tutaj, właśnie. Po czym poczuje się nagle gotowa. „Teraz, Benjamin, chodź!”. I Benjamin przyjdzie. Ona powie: „Mocniej! Jeszcze! Jeszcze mocniej, jeszcze mocniej, chcę, żebyś robił to bardzo mocno! Jeszcze mocniej!”. Powie to bardzo głośno i będę się zastanawiał, czy Marion śpi. Potem zacznie recytować jakieś sprośności, które ją podniecają. „Każdy ma swoje fantazje, Benjamin, tak to już jest z seksualnością”. Będzie chciała, że bym też mówił coś sprośnego, będzie mi szeptała do ucha, żebym powtarzał, ale nie zrobię tego. Nie potrafię wymawiać tych słów, nie w ten sposób. Nie potrafię albo brakuje mi motywacji. Nie lubię słowa pizda, nie lubię słowa cipa, nie lubię również innych słów. Ale jako że będzie mówiła je sama, to wystarczy.

Potem... Potem następuje: „Bierz mnie, Benjamin, dalej, pieprz mnie, rznij mnie, wal mnie, przebij mnie na wy lot...”.

Po czym... Po czym doznam trochę przyjemności (trochę... trochę więcej lub trochę mniej...) i będę tym zaskoczony. Zdarzy się to, kiedy ona zakrzyczy: „Taaaaak!...”. Będzie to może przyjemność usłyszenia, jak mówi „tak”, bo jest to słowo, którego używa bardzo oszczędnie. Z wyjątkiem łóżka.

Potem... Wszystko się skończy. Nie, nie zupełnie. Będą komentarze na temat tego, co było dobre, co było średnie, co trzeba poprawić, a także chwil, kiedy w ogóle się nie staram. Z egoizmu.

„Jaki ty jesteś pruderyjny, mój biedny Benjaminie, korona by ci z głowy spadła, gdybyś powiedział mi jakieś świństwo?”.

Tak, tak mi się wydaje. Nie przeszłyby mi przez gardło, ale nic nie powiem. A kiedy nadejdzie moja kolej, żebym zdał sprawozdanie, powiem, że wszystko było dobrze, kropka. A więc będzie znowu ta sama śpiewka:

„Benjamin, w związku należy rozmawiać o seksualności, Benjamin, jesteś pełen zahamowań. Nie wyrażasz siebie, nie mówisz, co lubisz”.

Co lubię... To, co lubię, to delikatność, powolność, to ufne oddanie się... to coś, co cechuje ludzi zakompleksionych.

„Wyraź siebie w końcu, Benjamin!”.

„A więc to, co lubię najbardziej, to łagodność...”.

„Ach tak? Jeśli chodzi o mnie, to kiedy nie jest to mocne, w ogóle mnie nie rusza. Musi być energicznie, musi być fizycznie, brutalnie”.

Jak za każdym razem, powiem sobie, że nie kochaliśmy się, ale uprawialiśmy sport. Kiedy wreszcie będziemy się kochać?

Cień na ścianie wydaje werdykt: w łóżku też nie ja kieruję. Nie muszę kierować, chciałbym tylko, żebyśmy przekazywali sobie nawzajem kierownicę.

- Benjamin? Szukasz natchnienia na suficie?

Rozumiem, że już dojechaliśmy, i zostawiam cienie tańczące na górze. Nie, sufit nie nastraja mnie pozytywnie.

- Dobranoc, moje małe kochanie, życzę ci miłych snów.

Westchnienie Béatrice.

- Robisz mi na złość, Benjamin? Ona ma na imię Marion, możesz ją przecież nazywać po imieniu, to nie jest w końcu takie skomplikowane, nie? Dobranoc, moja żabciu, śpij dobrze!

- Dobranoc... - odpowiada senna żabcia.

Patrzę na nią, łapiąc w locie to ulotne szczęście: Marion składa rączki, przykładając je do policzka, kładzie na nich głowę, niczym na poduszce, i zamyka oczy. Nie wie, nigdy się nie dowie, jaka jest urocza, jaka czarująca, kiedy wykonuje ten łagodny, pełen wzruszającej niewinności gest. Czarująca aż do bólu. Być może pewnego dnia kupię aptekę, żeby móc nadal oglądać ten gest. Co jest warte zachodu? Ten gest jest wart każdego trudu.

Napotykam spojrzenie Béatrice, równie wzruszonej. Czasami miewamy chwile bliskości... Zaraz potem wychodzimy na palcach. Wiemy to oboje: gdy tylko Marion przyjmie swoją pozycję do spania, niezwłocznie zapada w sen.

Ja również się szykuję: do seansu komunikacji, wymiany, dialogu... wszystkiego tego, co sprawia, że związek długo trwa.

Udaję się do toalety, żeby zafundować sobie krótki odpoczynek przed seansem komunikacji i wszystkim, co po nim nastąpi i co prze-

powiedział mi sufit. To zresztą nie tylko odpoczynek, lecz również przezorność. Gdyby na szła mnie nagle ochota na zrobienie sobie przerwy pod czas seansu dialogu, zostałbym natychmiast posadzony o wymigiwanie się od dyskusji. Ale jeśli się powstrzymuję, chcąc uniknąć tchórzliwej ucieczki, pęcherz zaczyna mnie w końcu prześladować, i myślę już tylko o doznaniu ulgi, nie zwracam nawet uwagi na rozmowę i mówię cokolwiek, co przychodzi mi na myśl. Nie chciałbym w takiej sytuacji na przykład przyrzec, że kupię aptekę, tylko dlatego, że akurat mam ochotę się wysikać.

Przedsięwziąwszy zatem środki ostrożności, dołączam do Béatrice w dużym pokoju. Wyciągnęła notes i swoje ulubione pióro. Do diabła! Czy będę musiał podpisywać zeznania? Gratuluję sobie pójścia do toalety.

- Posłuchaj, Benjamin, tego wieczoru nie mam czasu na dyskusje, muszę niezwłocznie zanotować to, co Marion powiedziała mi przed chwilą o *Oswojonej żabce*. Mam to świeżo w głowie, jeśli będę czekała, to połowę zapomnę.

Mam pomysł, jak poprawić zakończenie, nie chcę, żeby uciekł mi z głowy, rozumiesz?

Kiwam głową.

- Nie masz mi tego za złe, Ben?

Zupełnie nie! Potrząsam głową.

- Dziękuję, Ben, jesteś miły. Zawsze ze zrozumieniem przyjmujesz to, że chcę pracować, obojętnie o jakiej porze, bardzo to doceniam, wierz mi.

- To normalne - mówię. - Pracuj, pójdę do sypialni trochę poczytać.

- Poczekaj, Benjamin, muszę ci coś powiedzieć...

Ogarnia mnie niepokój. Czy trzeba będzie zmienić również kanapę? Czy może ten biedny Aurélien z powodu utraty dzieci popelnił w

końcu samobójstwo? Czy może znalazła dla mnie w pobliżu jakąś aptekę na sprzedaż?

- Zaprosiłam Baranów.
- Ach... Na kiedy?
- Na jutro. Nie mieli innego wolnego terminu, są bardzo zajęci.

Baranowie... Nie wiem, czy Béatrice ich lubi, czy raczej lubi u nich bywać. Pani Baran o imieniu Bérengère jest spokrewniona dalej lub bliżej ze śmietanką środowiska wydawniczego. Jest uprzejmą, sympatyczną mieszczką bez afektacji. Pan Baran, zawsze zapominam jego imię, jest spokojnym człowiekiem interesu, o którym nie wiem, co myśleć - brakuje mi również motywacji, żeby wyrobić sobie opinię na temat Baranów.

Owi Baranowie mają sześcioro dzieci - małych, dużych i średnich. Béatrice nie znosi, kiedy żartują z ich nazwiska, ale nie mogę się oprzeć tej pokusie.

- Baranowie? Zaprosiłaś rodziców czy całe stado?
- Benjamin, proszę cię... Nie, dzieci nie przyjdą.
- Zostawią je w owczarni?
- Benjamin, to są dowcipy gimnazjalisty!
- Wciąż jestem młody. A co damy Baranom do jedzenia? Udziec?
- Bardzo zabawne, naprawdę. Zamówiłam jedzenie w restauracji chińskiej. Czy będziesz mógł się zająć winem?
- Winem? Sądzisz, że Barany piją wino?
- Benjamin, to wcale nie jest zabawne. Wyobrażasz sobie, czego ich dzieci muszą się nasłuchać codziennie w szkole?
- Biedne małe Barany...
- Muszę iść pracować, Benjamin...

Zachowuję się, jakbym miał wyjść, i zmieniam zdanie. Biorę ze stołu kawałek papieru i podaję jej.

- Béatrice?
- Tak?
- Narysuj mi Barana...

Uśmiecha się. Załedwie się uśmiecha, ale uśmiecha się mimo wszystko.

Jestem zadowolony. Porozmawialiśmy sobie.

3. Pilnowanie Baranów

Widząc Baranów wchodzących do naszego salonu, wszystko zrozumiałem: wypadało dokonać inauguracji nowo zakupionego stolika, pokazać go Bérengère Baran. Zauważa go natychmiast; jakżeby inaczej? - trzeba by mieć zawiązane oczy, żeby go nie zauważyć...

- Jaką piękną ławę macie!

Béatrice uśmiecha się uradowana - lub może uspokojona? Baranowie słyną z tego, że mają bardzo dobry gust i dużo pieniędzy.

- Od razu się w niej zakochałam! - tłumaczy Béatrice, patrząc na mnie zwycięsko.

Ława podoba się Baranom, alleluja.

Rozmawiają o meblach, ja się nie odzywam; ten temat jest mi obcy. Nie interesuję się tym za bardzo. Jeśli chodzi o mnie, to poza lekami...

Béatrice rzuca mi wymowne spojrzenia: mam brać udział w dyskusji - potakiwanie to za mało. Zmieniam temat, pytam o dzieci. Małe Barany mają się dobrze, dziękujemy.

Marion przychodzi powiedzieć gościom dobranoc, po czym idę położyć ją spać, z przyjemnością i z ulgą: obawiałem się przez chwilę, że

Béatrice zechce sama się tym zająć - nie wiem, czy potrafiłbym podtrzymać rozmowę z Baranami.

Sam na sam z Marion, wytchnienie... chętnie bym je przedłużył, zaśpiewałbym jej piosenkę, ale Marion jest już gotowa do snu. Z grzecznie złożonymi rączkami, z główką ładnie na nich ułożoną, z zamkniętymi powiekami pogrąża się we śnie i nie mam już przy niej nic do roboty. Zostałem sam. Idę sobie.

Przy stole odkorkowuję butelki, serwuję wino, podaję potrawy... i próbuję słuchać przynajmniej odrobinę. Czuję się obco. To tak, jakbym nie mówił tym samym językiem, jakbym z obcego mi języka rozumiał tylko podstawowe słowa. Tylko tyle, żeby przeżyć.

Czuję się odizolowany. Oddziela mnie od nich niewidzialna granica.

Kiedy jesteśmy dziećmi, często nam się zdarza, że zastanawiamy się, co robimy wśród ludzi, których rozumie my tylko w połowie; i mówimy sobie, że kiedy dorośniemy, będzie inaczej. Ale kiedy jesteśmy już od dawna dorośli i nadal nie wiemy, co tutaj robimy, jest zupełnie inaczej: nie mamy już nadziei, czujemy się skazani na wieczne po czucie odmienności.

Jak to zrobić, żeby zainteresować się czymś, co nas nie interesuje? Próbuję, motywuję się, biorę się w garść, Ależ-Benjamin! Stosuję metodę Emile'a Coué, on też jest farmaceutą, kolegą po fachu jak by nie było: przekonuję sam siebie, że wszystko jest dobrze, że wszystko jest coraz lepiej, i udaje mi się trochę zainteresować.

Mówi się o pieniądzech, o przypisywaniu pieniądзом i rzeczom materialnym zbyt dużego znaczenia. Potwierdzam, to nic nie kosztuje. Pani Baran łąli się na obsesję pieniądza, jaka panuje w środowisku

przemysłowym, wśród szefów przedsiębiorstw, ludzi interesu. Dziwię się: czyż nie jest to środowisko zawodowe jej męża? Tak, tak, właśnie tak, wie, o czym mówi: pieniądze, cały czas pieniądze, do chodowości, oszczędzanie, inwestowanie, prosperowanie... Ale pan Baran ma swoją etykę, przedkłada wartości ludzkie nad pieniądze - poczciwy chłopiec z tego Barana.

- Benjaminie, to też z pewnością jedno z pana zmartwień w pańskim życiu zawodowym?

- No więc... - mówię.

Odwracając się do pani Baran, żeby jej odpowiedzieć, widzę nagle tylko jedno: wszystkie te loki na jej głowie. Ma włosy kręcone jak... Zbija mnie to z tropu. Podejmuję na nowo:

- No więc... Jeśli chodzi o mnie, to jestem pracownikiem otrzymującym stałą pensję, nie mam na głowie zmartwień związanych z inwestowaniem ani prosperowaniem. Ale człowiek interesu, który nie próbuje się wzbogacić, nie pozostaje, moim zdaniem, na długi człowiekiem interesu.

- Niestety... - wzdycha pani Baran. Potem zniemacka mówi z uśmiechem:

- A więc, Benjaminie, kiedy zabiera się pan za interesy?

- Zabieram się za interesy? Jakże?

- Niech pan nie udaje niewiniątka! Przecież pan również myśli... o inwestowaniu.

- Inwestowaniu na giełdzie? Zupełnie się na tym nie znam.

- Nie, mam na myśli kupno apteki, pewnie panu spieszno do zrobienia decydującego kroku.

A więc ona też? Dlaczego wszyscy chcą, żebym kupił aptekę? Powinienem być zostać nauczycielem, jak życzył sobie mój ojciec, wtedy nigdy nikt nie kazałby mi kupować szkoły.

- No więc... Nie wiem, czy jestem do tego przygotowany.

Béatrice od razu przejmuje pałeczkę, mówi o studiowaniu rynku, o porównywaniu, o dopracowaniu planu finansowego... Słuchając jej, nie ma się cienia wątpliwości: nie będę wiecznie pracownikiem etatowym, mam inne ambicje niż tkwienie w tej nieciekawej rutynie.

Rozumiem. Jestem tylko zwykłym sprzedawcą leków. Bycie farmaceutą nie jest na fali, to nie jest szykowne, to nie robi wrażenia... Nikt porządny nie powinien być farmaceutą... chyba że posiada własną aptekę. Przepraszam, salon apteczny.

Béatrice jest artystką, ja jestem handlowcem... Czy powinienem się tego wstydzić?

Jestem farmaceutą, ponieważ mój tato nim nie był. Mój tato był laborantem farmaceutycznym. Przez całe dzieciństwo słyszałem, jak kłął na tych imbecyli farmaceutów, którzy wykonywali tę samą pracę co on, a byli opłacani podwójnie albo nawet potrójnie - to zależało od stopnia jego zdenerwowania.

Przez całe dzieciństwo słuchałem, jak źle mówi o swoich szefach farmaceutach, nazywając ich tumanami. To mnie zmotywowało.

Kiedy zapisałem się na wydział farmacji, mój ojciec, laborant farmaceutyczny, nie był na to przygotowany - chciał, żebym został nauczycielem albo pielęgniarzem, miałem wybór. Potraktował mnie z góry: „Nigdy nie zdasz egzaminu, nie jesteś wystarczająco pracowity”. Czy miało to znaczyć, że farmaceuci nie są chodzącymi leniami i nierobami?

Nie byłem pracusiem, ale przeciwstawiłem się swojej naturze. Chciałem zdać ten egzamin, żeby nie przypodobać się ojcu. Udało się.

Zzieleniał ze złości, kiedy zrozumiał, że synek go zdradził, przeszedł na stronę wroga, że zostanie idiotą farmaceutą. Zastanawiałem się, czy kiedy studio wałem, nie życzył mi poniekąd śmierci, żeby tylko nigdy, przenigdy nie mieć syna farmaceuty.

Moja matka uważała, że to dobry zawód, ponieważ jest dobrze płatny i nie wymaga wielkiego wysiłku - mój ojciec nakładł jej do głowy tyle na temat legendarnego i nie podlegającego dyskusji lenistwa farmaceutów.

Kiedy otrzymałem dyplom, ojciec zmienił zdanie: zaczął się wszędzie chwalić, że ma syna farmaceutę. Stało się to żenujące, przedstawiał mnie ludziom, nawet tym, których znał bardzo słabo lub tylko z widzenia: „To mój syn, farmaceuta”. Wolałbym, żeby mówił „to mój syn Benjamin” i był tak samo dumny. Nigdy nie przyszło mu to do głowy.

I oto teraz zgadza się z Béatrice: powinienem być szefem. On, który zawsze szefów przeklinał, teraz poszukuje dla mnie rynków zbytu, klienteli, dowiaduje się, sporządza plany finansowania... i uważa mnie za niewdzięcznika. Wypadałoby, żebym był wdzięczny: dziękuję tato, stokrotnie dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ble ble ble. Nie zapominając oczywiście o stałej śpiewce: mam szczęście, że mam żonę, która mnie wspiera, która popycha mnie do przodu.

Pochwały pod adresem Béatrice słyszę przy każdym rodzinnym obiedzie. Moja matka wychwala ją pod niebiosa: Béatrice jest elegancka, jest jej ładnie we wszystkim, Béatrice pisze wspaniałe opowiadania dla dzieci, Béatrice jest żywa, inteligentna... Święta Béatrice. W końcu mam wrażenie - dziwne, zbijające z tropu - że to ona jest ich córką, a nie ja - synem. To nie jest zazdrość, bo wcale nie mam ochoty być podobny do Béatrice, to coś innego. Jakieś dziwne uczucie, które wprawia mnie w zakłopotanie.

Kiedy jako mały chłopiec dostawałem złą ocenę lub zrobiłem jakieś głupstwo, krótko mówiąc, kiedy obawiałem się, że bardzo mocno, bardzo głęboko rozczarowałem rodziców, pytałem mamę, czy nie można zamienić dziecka. Czy rodzice mogą odesłać kiepskie dziecko i wziąć na jego miejsce inne. Odpowiedź była zawsze ta sama, ale musiałem ją usłyszeć: nie, nie można zamienić dziecka, zachowuje się to, które się ma.

A więc zostałem okłamany. Moi rodzice zamienili dziecko, i to nagle. Gdybym był mały, poczułbym się opuszczony. Teraz czuję się tylko źle. Zyskuję na starzeniu się.

Kiedy pochwały pod adresem Béatrice zostają już wy powiedziane, często w połączeniu z porównaniami na moją niekorzyść, ogarnia mnie niepokój. Mówię małemu chłopcu, jakim byłem: Nie słuchaj, to nic takiego, oni mówią głupoty, tak już jest. Tak już jest...

Wspaniała Béatrice, zachwycająca Béatrice, cudowna Béatrice... moim rodzicom brakuje przymiotników, żeby opisać Béatrice. Wkrótce zaczną szukać synonimów w słowniku.

Ale wśród wszystkich pochwał ich ulubioną od lat po zostaje ta sama: „Béatrice ma niesamowitą klasę!”, „Jaką ta Béatrice ma klasę!”, „Béatrice to dopiero klasa!”. Są wręcz uzależnieni od tego wyrażenia.

Mnie słowo „klasa” nie przywodzi na myśl niczego wesołego. Przypomina mi szkołę. Przypomina mi hierarchię, którą ustala się wśród ludzi w środkach komunikacji, od separowanie tych z pierwszej klasy od wszystkich pozostałych. Béatrice i ja należymy do różnych klas, które zazwyczaj się nie mieszają: ona jest z pierwszej, a ja z drugiej. Ona ma klasę, ja nie czynię żadnego wysiłku, żeby ją zdobyć.

Kiedy moi rodzice wychwalają Béatrice, przypominam sobie ich brak entuzjazmu, gdy na początku naszej znajomości opowiedziałem

im o niej. Rzuciłem mimochodem, że mieszka we Francji zaledwie od kilku lat, że dzieciństwo i młodość spędziła na Gwadelupie.

To była szczerza prawda: ojciec Béatrice, młody urzędnik państwowy spragniony egzotyki, poprosił o przeniesienie do posiadłości zamorskich. Dostał posadę w Basse-Terre, zabrał rodzinę i zdecydował się tam zostać.

Później Béatrice, kierowana podobnym impulsem poszukiwania odmiany, zapragnęła studiować w metropolii - dla niej to było egzotyką. Chociaż w przypadku Béatrice znaczyło to także oddalenie się od matki...

Kiedy jednak nadeszła chwila napomknienia o młodej kobiecie, która mi się podobała, nie opowiedziałem rodzicom o tych szczegółach z przeszłości. W dyskretny i grzeczny sposób wyrazili zastrzeżenia, nawołując mnie do zachowania ostrożności: bez wątpienia dzieliły nas „różnice kulturowe” i nawet jeśli ona jest urocza (nie wątpili w to ani przez chwilę, „ależ skąd, jak możesz tak myśleć?”), nie należy się spieszyć. Pamiętam, że znajdowałem nieskrywaną przyjemność w pozwalaniu im na mówienie o tym. Kiedy pytali, czy ma „egzotyczny typ urody”, mówiłem, że nie, niespecjalnie.

Po czym przedstawiłem im „moją Antylkę”, jak ją ochrzcili. Byli zdumieni. Była biała. Nawet nieopalona. Biała, naprawdę biała. Bledsza ode mnie. I, co więcej, była piękna (uprzedziłem ich o tym, ale jako że byli przekonani, iż miłość jest ślepa, nie potraktowali poważnie tej informacji), była bardzo piękna, bardzo elegancka... miała klasę.

Odtąd już nigdy nie proszono mnie, żebym się nie spieszył. Wręcz przeciwnie: ona jest doskonała, podobamy się sobie, więc na co czekam? „Jak będziesz się guzdrał, moje dziecko, to taka piękna dziewczyna przejdzie ci koło nosa, kandydatów na pewno nie brakuje”.

Według nich nie wsunięcie jej obrączki na palec w jak najkrótszym czasie było dla niej obrazą, wręcz zniewagą. I dla nich również: przywiązali się do Béatrice, niecierpliwili się, chcieli, żeby natychmiast została członkiem rodziny.

Wydaje mi się, że ożeniłem się po to, żeby się nikomu nie sprzeciwiać. Zamierzaliśmy żyć razem, więc - z obrączką czy bez - jaka to różnica?

Béatrice mówiła, że ślub jest dla niej publicznym wyznaniem miłości i to jest piękne. Mówiła również, że brak ślubu oznacza, że nie bierzemy na siebie odpowiedzialności za miłość, jaką żywimy do drugiej osoby, a potem, od słowa do słowa, w wyniku stopniowego manipulowania znaczeniem słów, znaczyło to, że wstydzimy się swoich uczuć, później, że nie kochamy się naprawdę. Wreszcie - że w ogóle się nie kochamy. „Gdybyś mnie kochał, to chciałbyś się ze mną ożenić”. Jej oczy wypełniały łzy, a ja czułem, że jeśli nie pospieszę się z założeniem obrączki na jej serdeczny palec, przysporzę jej wielkich cierpień. Czy można być nieczułym wobec tak ślicznych oczu? Trzeba by być potworem.

Czasem zastanawiałem się, czym sobie zasłużyłem na taki zaszczyt. Na rynku byli przecież chłopcy dużo mniej bezbarwni niż ja, więc dlaczego ja? Potem to zrozumiałem... Zrozumienie przychodziło stopniowo, a wtedy nie mogłem już niczego zmienić. Kości zostały rzucone. Od powiedź kryła się w pytaniu: ponieważ byłem bezbarwny. Nie było ryzyka, że rzucę na nią cień. Byłem nie tylko z krwi i kości, byłem również plasteliną.

Nie dałem się długo prosić. Piękna synowa moich rodziców stała się dla nich niczym nowe dziecko, z tą różnicą, że to dziecko sobie wybrali. Uroda ma przesadną moc. Ktoś piękny zdaje się być jednocześnie inteligentniejszy, miłszy, atrakcyjniejszy. Ktoś piękny z łatwością uzyskuje przywileje - ja przychyliłbym się raczej do ich zniesienia.

Matka nie powiedziała mi nigdy otwarcie, że nie zasługuję na taką kobietę jak Béatrice, ale dała mi to do zrozumienia tak głośno, że było to chyba jeszcze gorsze. „Przy jej klasie masz szczęście, że w ogóle cię zauważyła!”, „Jak ci się udało jej spodobać?”. Pamiętam, jak pewnego wieczoru wytknąłem jej to wprost: „Ona jest dla mnie za ładna, prawda? Czy jestem aż taki brzydki? Taki odrażający?”. Moja matka natychmiast zaprotestowała: ależ skąd, nic nie zrozumiałem, prezentuję się całkiem nieźle, jestem niebrzydkim chłopakiem, jestem bardzo sympatyczny, ale ona wyobrażała mnie sobie z bardziej zwyczajną kobietą, ani głupią, ani brzydką, oczywiście, ale - powiedzmy - raczej nijaką.

Czy mogę mieć to za złe swoim rodzicom? Jak mogę im zarzucać coś, czym sam zgrzeszyłem. Byłem jak oni, swego czasu przyciągało mnie wszystko, co błyszczy, wierzyłem obietnicom witryny, nie otwierając drzwi sklepu. Byłem tą zafascynowaną światłem ćmą, która zatracca własny osąd - ono jest takie piękne - i rzuca się w jego kierunku z całego serca, nie wierząc, że może się sparzyć. Czasem wydaje mi się, że czuję zapach spalenizny. A może to resztki zapiekanego dania, które mam przed nosem? Oderwałem się myślami od kolacji. Powróćmy do naszych Baranów.

Nagle... dlaczego oni wszyscy stoją? Wiem: to już koniec kolacji. Barany wcześniej kładą się spać albo spieszy im się, żeby wrócić do owczarni i odnaleźć resztę stada, przecież jest zaledwie jedenasta.

Ja również wstaję. Podziękowania, ucałowania, gratulacje dla Béatrice za jej ostatnią książkę (niezwykła wyobraźnia!), za designerską ławę, za wyśmienitą kolację (jakaż z niej wyborna kucharka!).

Béatrice już mi wyłożyła swój punkt widzenia: nie kłamie, przecież nie mówi: „To ja przygotowałam jedzenie”, goście mogą myśleć, co

chęcią. Kłamstwo przez przeoczenie, ale ma czyste sumienie: nie skłamała.

Wolałbym, żeby kłamała otwarcie, uważałbym to za uczciwsze.

Barany wychodzą.

Ja zostaję.

Nie mogę się oprzeć, świerzbi mnie; gdy tylko drzwi się zamykają, słabym głosem, jakbym był zasmucony ich wyjściem, skarżę się:

- Beee...
- A, teraz się obudziłeś!
- Przecież nie mogłem beczeć przy stole...

Ona wzrusza ramionami i wznosi oczy ku niebu, widać doskonałą koordynację ruchów. Można by przysiąc, że to wcześniej trenowała. To zresztą prawda, często to ćwiczy.

- Benjamin, przy kolacji zastanawiałam się, czy jeszcze żyjesz.

Ja też, to dowodzi, że mamy coś wspólnego.

- Béatrice... wolałbym, żebyś za dużo nie mówiła o tej historii z apteką, to jest trochę przedwczesne...

- Ach? To dlatego! To dlatego wyglądałeś tak, jakby coś było z tobą nie tak? Wybacz, Benjamin, mówiłam o tym jako o planach, nie podałam żadnej daty.

Jeszcze by tego brakowało.

Ja sprzątam ze stołu, ty sprzątasz ze stołu, ona sprząta ze stołu, my sprzątamy ze stołu... Podczas gdy powtarzam sobie koniugację, ona komentuje kolację. Kiwam głową od czasu do czasu. Ona ma rację: jestem już trochę nieżywy. Ma to dobre strony: kiedy umrę na dobre, będzie to tylko różnica stopnia - o jeden krok więcej i umrę w spokoju. Będę miał czas się wcześniej przyzwyczaić; zaledwie po czuję zmianę.

- Benjamin, usiądź na chwilę, proszę cię.
- Skończyliśmy? Skończyliśmy sprzątać ze stołu?
- Tak... Muszę z tobą porozmawiać.
- Teraz? Wiem, muszę kupić aptekę. Czy nie moglibyśmy się pokłócić innym razem? Jestem wykończony...
- Tak, właśnie to chciałam powiedzieć: źle z tobą, Benjamin.
- Chcesz, żebym poszedł do lekarza?
- Nie, miałam na myśli twoje zdrowie psychiczne. Czujesz się źle w swojej skórze, jesteś nieobecny, chodzisz ciągle zamyślony, wpatrujesz się bezmyślnie w sufit...

Mój wzrok przenosi się na sufit, a ona opisuje dalej. To staje się interesujące: ona nie uważa, że jestem pusty. Wręcz przeciwnie, uważa, że jestem pełny, pełen posępnych myśli, zdławionych, niewypowiedzianych, niechybnie związanych z moim dzieciństwem. Przepelniony po brzegi - ona sądzi, że jestem u kresu wytrzymałości.

Być może. A komu się to nie zdarza? Każdy, jak mi się zdaje, ma swój bagaż. Ale to nie wypełnia; to opróżnia jeszcze bardziej.

- To jest kryzys czterdziolatka, Benjamin, to klasyczny objaw. Ale musisz wziąć się w garść.

Biorę natychmiast w garść swoją drugą rękę, jak przed chwilą w samochodzie.

- Nie żartuję, Benjamin. Musisz się z kimś umówić.
- Umówić się z kimś?
- Tak, z psychoterapeutą. Dla własnego dobra, Benjamin.

Ach... Sądziłem przez chwilę, że proponuje mi romans z inną kobietą. Jestem trochę rozczarowany. Jeśli już mam się z kimś umówić, to lepiej, żeby to była kobieta. A może kobieta psychoterapeuta...? Ale nie. Mam umówić się z mężczyzną, z jakimś świetnym specjalistą - ciągle dla mojego dobra. Z kimś, kogo jej polecono i kto osiąga za-

dziwiałe wyniki. Byłaby naprawdę szkoda, gdybym nie zasięgnął jego rady. Szkoda dla kogo? Czy ona myśli, że ten facet mi doradzi, żebym kupił aptekę?

Poinformowała się, zadzwoniła. Podaje mi kartkę, na której wszystko zanotowała: nazwisko, adres, telefon, godziny przyjęć i honorarium.

- Zadzwoń do niego, Benjamin!
- A jeśli go obudzę?
- Nie teraz! Ale nie ociągaj się za bardzo.
- Taak... Zobaczymy.
- Jeśli mówisz „zobaczymy”, to znaczy, że do niego nie pójdziesz.

Przynajmniej raz bądź szczery, Benjamin. Czy coś mówię, czy nie... i tak nigdy mnie nie słuchasz. - Jej głos przycicha nagle. Jest już tylko skargą, ledwie do mnie dociera. - Twoja obojętność mnie boli...

Ociera oczy takim uroczym gestem, tak rozbajającym... Czuję się niezręczny, ociężały, sztywny jak drewno.

Biorę ją za rękę, uważając, żeby jej nie złamać, i skła dam na niej pocałunek, lekki pocałunek. Szukam słów.

- Ja... Ja nie chciałem... Nie chciałem cię urazić.

Ona wykonuje ten sam wyszukany gest. To takie wdzięczne, ten sposób, w jaki wyciera oczy grzbietem dłoni, ledwie dotykając powiek. Jak ona to robi?

Kruchym, załamującym się głosem odpowiada:

- Nic nie szkodzi, Benjamin... To dla twojego dobra... Zrobisz, jak będziesz uważał... Ja, ja jestem taka... taka bezradna, nie wiem, jak ci pomóc.

Jej głos gaśnie, ręka rozpoczyna na nowo swój subtelny taniec.

Bardzo pragnąłbym być jej oczami, żeby być tak dotykany.

4. Freudowski talizman

Poczekalnia.

To minuty mojego życia: klepsydra się opróżnia, powoli, ale zdecydowanie, a ja jestem tutaj i czekam.

Czy nie tkwimy wszyscy w poczekalni przez cały czas? Tyle że każdy z nas ma swoją klepsydrę i nie w każdej jest tyle samo piasku. Poczekalnia też nie jest ta sama dla wszystkich. Ale wszyscy czekają i wszyscy usiłują się czymś zająć, czekając.

Co ja tutaj robię?

Czy nie mógłbym poczekać gdzie indziej? Ile piasku zostało w mojej klepsydrze? A Marion?... Co za zgroza. Marion jest wieczna: zawsze będę znał ją żywą. Ja jestem śmiertelny, śmiertelny dla niej. Chciałbym umrzeć natychmiast, żeby mieć pewność, że umrę przed nią.

Wzdrygam się.

Zauważam, że to moja kolej. Przyszła kolej na mnie, dotarłem do celu. Czy tak reagujemy na ostatnie ziarno piasku, na koniec czekania: czy to już?

Opuszczam poczekalnię. W mojej głowie, niczym ziarnko piasku, kołacze się ta ironiczna myśl: czy umarłem, nie zdając sobie z tego sprawy? Czy to za Bogiem Ojcem teraz idę?

Podążam zatem za nim. Zamyka drzwi.

- Proszę, niech pan usiądzie.

Skoro o to prosi...

Patrzę na psychoterapeutę. Szary garnitur, szare włosy... Szary psychoterapeuta.

Nawet oczy ma szare. Można się zastanawiać, czy dobiera ubrania do wyglądu, czy odwrotnie. Czy wskutek ubierania się na szaro jego oczy i włosy też poszarzały, żeby nie odstawać od całości.

Gdybym był powieściopisarzem, wybrałbym na bohatera szarego psychiatrę, nazwałbym go Panem Szaraczkim. Wszystko by w nim nabierało szarej barwy. Nie tylko oczy, włosy, nawet cera w końcu by poszarzała, a także umysł. Mój bohater byłby szary również od środka. Szara dusza, jak wszystkie trochę już wysłużone dusze, nie czarna, nie, ale splamiona dusza, która straciła blask. Żegnaj, czystości, witaj, smutku... Myśli też nie tak naprawdę czarne, ale poszarzałe. I tak dalej...

Żeby znaleźć trochę pocieszenia w związku z całą tą szarzyzną, uchronić się przed nią, zapobiec jej pogłębianiu się, mój Pan Szaraczek miałby cechę szczególną - nosiłby zawsze przy sobie fetysz, amulet, talizman.

Talizman Pana Szaraczka, talizman psychoterapeuty o nienagannych manierach, uprzejmego, „proszę pana” i spółka, ten talizman nie byłby afrykański, to sprzeciwiałoby się jego racjonalności, to byłby freudowski talizman. To byłby...

- Co pana sprowadza?

Przeszkadza mi. Straciłem wątek. Nigdy się nie do wiem, jaki talizman miał Pan Szaraczek. Już nie wiem, o czym myślałem. Co on powiedział?

- Proszę?
- Co pana sprowadza?
- Moja żona.

On udaje, że się rozgląda. Czyniąc to, odwraca głowę i spostrzegam przelotnie złoty łańcuszek w zagłębieniu jego szyi. Jeśli to jest jego talizman, to czuję się rozczarowany. Brak wyobraźni. Chyba że łańcuszek symbolizuje asocjację myśli, po każdym ogniwie następuje kolejne ogniwo i tak dalej. Tak, to z pewnością freudowski talizman.

- Pańska żona... Nie widzę jej.
- Nie przysłała. Ale to ona doradziła mi, żebym się do pana udał.
- Powiedziała panu dlaczego?
- Tak, jest bardzo szczerą. Sądzi, że jest ze mną źle, że powinienem wziąć się w garść.

- Czy wie pan, dlaczego myśli, że jest z panem źle?
- Tak. To dlatego, że nie chcę kupić apteki.

Uśmiecha się, zamyślony.

- A? Bo ludzie, którzy dobrze się czują, kupują apteki?
- Według niej tak to mniej więcej wygląda...
- Jest pan farmaceutą?
- Oni też są potrzebni...

Widzę, że niczego nie rozumie. Streszczam mu swoją sytuację: lubię swój zawód, ale nie mam ochoty kupować apteki, a mojej żonie na tym zależy. To nie po to, żeby mi się przeciwstawić, to dla mojego dobra: ona myśli, że będę się czuł bardziej spełniony, jeśli zostanę właścicielem apteki.

On się zamyśla. Ja też. A przecież powiedziałem prawdę, ale wypowiadając ją, zdałem sobie sprawę, że jest śmieszna. Gdyby ten szary psychoterapeuta kazał mi się mknąć, ponieważ stanowię zagrożenie dla siebie lub innych, to czy Béatrice przychodziłaby składać mi

wizyty w szpitalu? A Marion? Wówczas przychodzi mi do głowy myśl, którą wypowiadam natychmiast na głos:

- Mam małą córeczkę. Ma na imię Marion...
- Tak... i Marion też chciałaby, żeby pan kupił aptekę?
- Nie, Marion chce, żebym jej kupił filmy rysunkowe i zabawki.

Marion bardzo lubi się bawić...

- Tak... A pan sam? Pan...
- Ja lubię się bawić z nią, ale nie bawię się sam...
- Nie, chciałem powiedzieć: a pan sam, czy podziela pan zdanie żony, czy uważa pan, że źle się pan czuje?

- Uważam, że nie czuję się ani dobrze, ani źle. Myślę, że czuję się średnio. To, co u mnie nie gra, to...

Milknę. Nie wiem, jak do tego doszło, że to powiedziałem, ale trudno było mi się powstrzymać: to, z czym u mnie jest coś nie tak, to ona. To było bez wątpienia skojarzenie, ogniwo łańcucha prowadzące do innego. U mnie... wypowiadając to, zobaczyłem się u siebie w sensie dosłownym. U siebie, u niej...

Béatrice nie zawsze jest łatwa we współzyciu, ale, jak by nie było, ja też nie jestem łatwy. Ona nie ma w stosunku do mnie złych intencji, nawet jeśli czasami bywa szorstka. To ja jestem trochę przewrażliwiony, nie mam odwagi wygłaszać swoich opinii, idąc do przodu, cofam się. Nie lubię krzyków. Oddalam się od tematu... Mój problem to ja sam. Zwalanie winy na kogoś to uciekanie od odpowiedzialności. Béatrice by się z tym zgodziła: „Benjamin, uciekasz”. Uciekam...

- Tak? To z czym u pana jest coś nie tak...?

Szare oczy patrzą na mnie. Zbyt szare spojrzenie, które mówi mi: czy mam czekać do jutra?

Powiem to dzisiaj. Przynajmniej nie przyszedłem na darmo, przynajmniej to komuś powiem, powiem to raz w życiu:

- No więc... To rodzaj dziwnego niepokoju. Czuję się pusty... Czuję się opróżniony. Jakbym był pusty. To nie boli, nie cierpi się dlatego, że jest się pustym. Jest to dziwne uczucie, jakby moje życie uciekło. Jakbym był gdzieś przedziurawiony i powoli przeciekał. Byłem wypełniony, przynajmniej częściowo. Nie poczułem, kiedy zacząłem przeciekać, wyciekło ze mnie stopniowo, a kiedy zdałem sobie z tego sprawę, byłem już pusty. To jak krwotok. Jeśli ranny straci dużo krwi, to nie ma szans. Ze mną jest podobnie: gdzieś siebie straciłem. Nie wiem, co się ze mną stało.

- Przecież pan żyje.

- Z pozorów... Nie należy ufać pozorom.

Każe mi określić w czasie to „nabranie świadomości”; lubi te słowa, wyczuwam to po jego głosie.

- To jest bardzo świeże. Inaczej latałbym dziury wcześniej.

- Jak do tego doszło? Czy to jakieś wydarzenie objawiło panu tę pustkę?

Czy mam mu powiedzieć, że to dzięki drewnianemu stolikowi-ławie? Zwierzenia mają swoje granice. I tak już za dużo mu powiedziałem, czuję się ogołocony z resztki, jaka mi jeszcze pozostała. To niby nic, ale przynajmniej było moje.

- No więc, przypomina pan sobie? - Rzuca mi szare spojrzenie.

Rzuca mi... to mnie inspiruje: znalazłem brakujące ogniwo.

- To z powodu piłki, którą rzucałem swojej córce i która stopniowo traciła powietrze... Duża, ładna piłka, kolorowa. Na koniec była do niczego niepodobna. Wytłumaczyłem Marion, że piłka jest wypełniona powietrzem, że musiała zostać przypadkowo przedziurawiona i się opróżniła. Mówiąc to, pomyślałem: „jak ja”... i to wszystko.

On przypatruje mi się z poważną miną. Szarą miną...

- Czy zgadza się pan z moją żoną? Uważa pan, że to coś szarego? Przepraszam, że to coś poważnego? Że jest ze mną źle?

- To, co o tym myślę, nie ma znaczenia. Ale to, co pan sam o tym myśli... Każdy z nas któregoś dnia zadaje sobie pytania dotyczące życia, jego sensu. To pytania egzystencjalne. Niektórzy zadają je sobie w bardziej dobitny sposób niż inni. Pan na pewno do nich należy. To nie mówi mi, czy życzy pan sobie pomocy z zewnątrz. Przyszedł pan do mnie „przyrowadzony” przez żonę, nie przez siebie samego. Jeśli przyjdzie pan do mnie ponownie, dobrze byłoby, żeby pan to zrobił z własnej nieprzymuszonej woli. Żeby to pan o tym zdecydował. Niech się pan nad tym dłużej zastanowi...

Po czym tłumaczy mi, że terapia, jaką stosuje, opar ta jest na asocjacji myśli, jedna myśl pociąga za sobą inną, która pociąga za sobą jeszcze inną... Dotyka łańcuszka wokół szyi: freudowski talizman upewnia go, że dobrze tłumaczy.

- Niech pan to spokojnie przemyśli... I to sam. Niech pan nikomu nie pozwala za siebie decydować.

Sam osobiście już to przemyślałem. Żegnaj, panie Szaraczku.

- No i co? - pyta. - Jaki on jest?

- Jest szary.

- Benjamin, nie można z tobą poważnie porozmawiać. Czy wszystko dobrze poszło?

- Tak.

- Co ci powiedział?

- Powiedział mi... powiedział mi, że to kryzys egzystencjalny. Zadaje sobie pytania dotyczące sensu istnienia i według niego jest to

raczej oznaka dobrego zdrowia psychicznego. On uważa, że mam się całkiem dobrze...

- Benjamin, nie pokazałeś mi swojego prawdziwego oblicza. O czym mu powiedziałeś?

- O wszystkim... O pracy, o rodzicach, o Marion...

- O mnie nie?

- Tak, tak, o tobie również.

- Co mu powiedziałeś o mnie?

- Że zawsze jesteś gotowa mnie wesprzeć.

- Nawet za bardzo. Nie mogę dźwigać całego ciężaru na swoich plecach... To dlatego musisz sam wziąć się w garść. Kiedy znów do niego idziesz?

- On uważa, że nie potrzebuję jego rad.

Ona wzdycha.

- Widzisz, jaki ty jesteś: gdy tylko trzeba działać, uciekasz!

- O tym też mu powiedziałem, dobrze mu wytłumaczyłem, że uciekam. Ale on uważa, że nie, że tylko odnoszę takie wrażenie, bo wątpię w siebie. To jest objaw mojego kryzysu egzystencjalnego. Nie ma w tym nic niepokojące go. Muszę nabrać pewności siebie, umieć uznać swoje zalety. Bo, widzisz, ja mam tendencję do zauważania tylko swoich wad. Rozumiesz?

Wydyma delikatnie wargi, okazując dezaprobatę. Gdy by kochała się tak, jak robi ten grymas, kładłbym się spać z lepszym sercem.

- Tak powiedział? Kłamiesz, Benjamin.

- Nie. Jeśli mi nie ufasz, to jak mam nabrać pewności siebie? Jeśli o to chodzi, bardzo jasno się wyraził: otoczenie nie powinno podawać w wątpliwość mojej wartości. To podstawa w kryzysach egzystencjalnych. Ten kryzys jest czymś, co osłabia, rozumiesz...

Czuję, że jest sceptyczna, niezdecydowana...

Nagle wybucha. Bum!

- Kryzys egzystencjalny! Kryzys egzystencjalny! Ja ci dam całe mnóstwo kryzysów egzystencjalnych! Ten facet nie potrafił dostrzec, że coś jest z tobą nie tak!

- On nie widział mnie twoimi oczami...

Ona się uspokaja, równie nagle jak wybuchła. Czy trafiłem we właściwy punkt?

- On cię widział w innym otoczeniu... Nie mógł zdać sobie sprawy. Ale przynajmniej jedna rzecz jest dobra w tym, co powiedział: musisz mieć do siebie zaufanie, musisz przestać się bać zaangażowania, przestać uciekać przed odpowiedzialnością. Przemyśl to wszystko, Benjamin. A tymczasem bądź tak miły i pójdz po pizzę.

Zakładam marynarkę, po czym, już wychodząc, mówię:

- Béatrice?

- Co?

- Powiedział mi też, że z psychicznego punktu widzenia to nie jest odpowiednia chwila na kupienie apteki. Jestem zbyt delikatny.

5. Miłość zamiast wojny

Nigdy nie powinienem był mówić, że jestem delikatny. Odtąd mam wrażenie, że się potłukę. Jestem jak pęknięte szkło - w zawieszaniu. Przy najmniejszym wstrząsie mogę się rozbić. Na tysiące kawałków.

A głosy wywołują we mnie wrażenie drżenia, gróźb. Jestem wyszczerbionym kryształowym wazonem. Jestem w niebezpieczeństwie. A co się robi z wazonem, który się rozbija? Wyrzuca się go na śmietnik i tyle.

Kiedy Béatrice krzyczy, każde jej słowo przypomina detonację. Mam ochotę schować się pod łóżko, żeby przeczekać, aż odłoży na bok karabin maszynowy. Strzela ślepyimi nabojami, ale sam dźwięk mnie rani. Pod koniec mam całe uszy we krwi.

Kiedy Béatrice krzyczy, powinienem krzyżeć jeszcze głośniej, żeby mnie usłyszała. Ale jak by to wyglądało, gdy byśmy krzyżeli oboje? A Marion?

Kiedy Béatrice krzyczy, Marion słucha jej bez szemrania, idzie posprzątać swój pokój, zamyka drzwi, opowiada bajki lalkom, żeby niczego nie słyszały.

Kiedy Béatrice krzyczy, bardzo chciałbym być lalką.

Kiedy Béatrice krzyczy na Marion, mała nie ma prawa pójść do swoich lalek. „Zostań tutaj, Marion! Słuchaj mnie!”. Marion zostaje

zatem ze skupioną i uważną miną. Myślę, że w takich chwilach zamienia się we własną lalkę i opowiada sobie coś w myślach. Nie wiem... Nie wiem, co dzieje się w jej umyśle, kiedy tak stoi niewzruszona, aż do chwili, kiedy Béatrice mówi do niej: „Zrozumiałaś?”.

Wówczas mówi, że tak, że rozumiała. Co rozumiała? Że skarpetki należy włożyć do kosza na brudną bieliznę, a nie zostawiać je na podłodze? Zrozumiała, że powinna układać swoje zabawki, a nie rozrzucać je wszędzie, jak mały Tomcio Paluch nowej generacji, który miałby potrzebę pozostawienia śladów, żeby upewnić się, że na pewno jest u siebie? Zrozumiała to wszystko, czy tylko trochę? Kto to wie... Mówi, że rozumiała, i odchodzi do swoich spraw. To była przerwa, chwilowa, niczym przerwa w do pływania prądu; kiedy prąd wraca, zdmuchujemy świeczki i zapominamy. Zapominamy...?

Czy ciuchy mniej walają się po podłodze? Czy zabawki są mniej porozrzucone? Trochę mniej... Przez godzinę czy dwie, krótko...

Kiedy Béatrice krzyczy, zapominam natychmiast, co po wiedziała, marzę tylko o jednym: żeby to się już skończyło.

Kiedy Béatrice krzyczy, próba odpierania zarzutów jest niebezpieczną grą, jest jak dolewanie oliwy do ognia.

Kiedy Béatrice krzyczy, nagle ogarnia mnie ogromne zmęczenie, wielkie znużenie.

Nie, nie pójdę schować się pod łóżko, pójdę się raczej położyć w swoim łóżku, głęboko, aż do usnięcia, aż do ciszy.

Kiedy Béatrice zaczyna krzyczeć, a ja mówię „Nie krzycz!”, krzyczy jeszcze głośniej: „Nie krzyczę!”. A więc, co się rozumie samo przez się, mówię jej to coraz rzadziej. Już nic nie mówię.

Kiedy Béatrice nie krzyczy, mówię, że to kojące, że to przyjemne, kiedy mówi normalnie, nie podnosząc głosu.

Wówczas patrzy na mnie oszołomiona, jakbym palnął jakieś głupstwo: „Ależ jak to! Benjamin! Ja nigdy nie krzyczę. Od czasu do czasu tylko się złościę, bo inaczej mnie nie słuchasz, ale nie krzyczę! To ty jesteś przewrażliwiony; wystarczy, że trochę ci się sprzeciwię, a już wydaje ci się, że krzyczę. To jest związane z twoim dzieciństwem, Benjamin, nic na to nie poradzę, to twoi rodzice podnoszą głos o byle głupstwo. Wypowiadam swoje zdanie, jestem szczerą, jestem bezpośrednią, to ty interpretujesz...”.

Béatrice siebie nie zna. Myli siebie z kimś innym. Z inną kobietą, którą wzięła za siebie i z którą łączy ją tylko niewielkie podobieństwo.

Te wszystkie myśli cały czas kołaczą mi się w głowie, którą schowałem pod kołdrę. Przed chwilą miał miejsce kryzys przed położeniem Marion. Wybuch.

Był krótki, kilka detonacji, nie było ofiar - Marion od razu schroniła się w swoim pokoju.

Béatrice mówiła o Aurélienie, który jest taki nieszczęśliwy, od kiedy żyje z dala od swoich dzieci - a tak w ogóle to czemu ona ciągle wraca do Auréliena? Powiedziałem, że Odile, była żona Auréliena, nie wydaje się okazywać zbyt wielu uczuć macierzyńskich i że być może (podkreśliłem „być może”, to było przypuszczenie) równie dobrze dzieci mogłyby zostać z ojcem (powiedziałem „równie dobrze”, nie powiedziałem „lepiej”). Wzruszyła ramionami i podniosła głos:

- Odile nie okazuje uczuć macierzyńskich? To, że ktoś nie jest zdzieciniały, nie jest wyznawcą swobodnych za sad moralnych, potakiwaczem bez charakteru, ciapą, nie znaczy, że nie jest czuły! Aurélien zrobiłby ze swoich dzieci mięczaki! Dziecko potrzebuje rygoru, dyscypliny!

Na nieszczęście skomentowałem:

- Rozkaz, panie komendancie! Raz! Dwa!

To z solidarności z Aurélienem, nie mogłem się powstrzymać - nie można się cały czas powstrzymywać...

To spowodowało wybuch.

Wyjaśniłem, że to był żart, bez wątplenia w złym guście, kawał opóźnionego w rozwoju gimnazjalisty, i że tego żałuję. Daremny trud, oliwa dolana do ognia, druga salwa. Gęsty ogień karabinowy. Krzyk, krzyk, krzyk.

Bóg wie czemu przyszedł mi na myśl krzyk niebios. Może Bóg wie, czemu tak...

Miałem religijną myśl, co rzadko mi się zdarza: być może krzyk niebios rozlega się za każdym razem, kiedy ktoś krzyczy. Potem naszła mnie inna myśl, pogańska: niech zatem Bóg wstrzyma krzyki, skoro ma pełną władzę.

Po czym przestałem myśleć i zrozumiałem mniej więcej, co krzyczała: Odile jest wspaniałą kobietą, była bardzo, bardzo nieszczęśliwa z Aurélienem, on sam tego chciał, dzieciom jest tysiąc razy lepiej z mamą, która stąpa twardo po ziemi, podczas gdy on... Reszta zagubiła się w kolizji słów, zderzających się, akcentowanych, wrzeszczanych.

Nagle spokój po burzy, nieśmiałe słońce:

- Zrozum, Benjamin, ja bardzo lubię Odile. No, nie będziemy się o to kłócić, to nie nasze sprawy. Nie rób takiej miny... Nie lubię, jak jesteś smutny, uśmiechnij się do mnie...

Nie wiem, czy się uśmiechnąłem. Wiem, że cmoknęła mnie w usta i że ten pocałunek był tak gwałtowny, że aż wydał mi się brutalny.

Kiedy przed chwilą czytała opowiadanie, nie patrzyłem w sufit, odrzuciłem jego przepowiednie.

Udałem, że bardzo boli mnie głowa, żeby wślizgnąć się do łóżka - a dlaczegóż by, do diabła, mężczyźni nie mieli mieć prawa do migreny? To byłaby dyskryminacja.

- Weź coś, Benjamin, w końcu jesteś farmaceutą, a nie sprzedawcą cukierków.

- Jednym i drugim... Wziąłem tabletki, ale jak się położę, to przejdzie mi szybciej.

- Nie idziesz jeszcze spać, Benjamin?

Wykręciłem się jakoś. Nie jestem wielkim zwolennikiem tabletek nasennych, ale naszła mnie ochota... Oparłem się pokusie.

I tak oto jestem w pościeli. Chciałbym zasnąć przed nią. Zanim położy się obok mnie. Wciąż nie śpię. A oto i ona.

Zamykam oczy, nie ruszam się, oddycham regularnie, powoli...

Słyszę, jak się kładzie, czuję, jak mnie dotyka. Wydaję niewyraźny, zaspany dźwięk i przewracam się na drugi bok, na którym nadal odgrywam rolę głęboko uspiętego.

Oddech w moim uchu, jej skóra przy mojej, tuż obok... Śpię.

Jej ręce na moim ciele.

Najpierw na plecach.

Śpię.

Jej ręce na moich pośladkach, na moich udach...

Śpię.

Jej ręce na moim narządzie płciowym.

Nadal śpię.

Jej ręce przyspieszają ruchy, krzątają się...

I mój narząd płciowy, usłużny, zdradza mnie i słucha.

Już nie śpię.

Zaspany, skarżę się:

- Obudziłaś mnie, chce mi się spać...

- Spaleś? Coś takiego! Spaleś z czarodziejską różdżką gotową do użycia? Jaka szkoda! Wiesz, te narzędzia są jak baterie: zużywają się, gdy się nimi nie posługujemy...

Po czym następuje szereg pikantnych, niemalże gwałtownych słów, które gdzieś przeczytała i które jej się spodobały - Béatrice czyta dużo współczesnych powieści. Słów, którymi jest mocno podekscytowana, dyszy, jęczy, wchodzi na mnie, bierze mnie za rękę, wyprowadza ją na prostą drogę, recytuje mi instrukcję obsługi: „W ten sposób, tutaj, tutaj, dalej...”.

Mam jakby skurcz w ręce, jest nieruchoma. Mam odrętwiałe palce, ciężkie niczym drewno - masywne drewno. Moja ręka jest jak pomnik ręki. Ale to w niczym nie przeszkadza, pikantne słowa nie milkną, a potem te, które wymawia za każdym razem, kiedy zabieram się za to jak fajtlapa: najlepiej obsłużyć się samemu.

Odpycha moją rękę ze strategicznego miejsca.

Jej ruch mnie drażni.

- Dalej, teraz, Benjamin, bierz mnie, pieprz mnie, przebij mnie na wskroś, szybko!

Mówię sobie, że wielu mężczyzn pragnęłoby być w tym momencie na moim miejscu. Ciało Béatrice powinno wzbudzać pożądanie... w zasadzie.

Mówię sobie: Nie wiesz, jakie masz szczęście, taka piękna kobieta i taka wyzwolona.

Wyzwolić...

Wyzwolić więźniów... Dźwięczy w mojej głowie głuche dudnienie, jakby mój mózg chciał wymknąć się z czaszki... Dudnienia, uderzenia, wyzwólcie więźniów!

Wyzwalam się.

Uwalniam się i oddycham, rozkoszuję się swoją wolnością, swoją lekkością... Tym ciężarem, który został mi odjęty. Wolność, równość, braterstwo. Kochajcie się za miast wojować.

- Co się z tobą dzieje, Benjamin? Źle się czujesz?
- Tak, źle się czuję. Boli mnie głowa. Nie jestem w stanie...
- Nie możesz mi tego zrobić! Jestem gotowa, jestem gorąca, jestem...

- Źle się czuję, pulsuje mi w skroniach.
- Weź jakieś lekarstwo, nie możesz zostawić mnie na lodzie!
- Już wziąłem. Muszę się przespać, to wszystko.

Ona wdycha, sprawdza stan mojej magicznej różdżki, już wcale nie magicznej, a wręcz całkowicie odczarowanej.

- Nie wierzę! Robisz to umyślnie!
- Tego nie da się zrobić na zawołanie! Ból głowy też nie mija na zawołanie. Potrzebuję snu...
- No to dobranoc! Wyobraź sobie, że mnie nie chce się spać...

Wyczuwam w jej głosie popłoch. Pocieszyć ją po przykrości, jaką jej zrobiłem? Powiedzieć, że jest piękna i wzbudza pożądanie? Powiedzieć jej nawet, że ją kocham?

Ale ona już wstaje.

Już opuszcza sypialnię.

Już czuję uderzenia wymierzane w moją głowę. Zacierają się coraz bardziej... Wyzwólcie naszych więźniów, kochajcie się zamiast wojować, wolność, równość...

Moje myśli już bełkoczą...

Pod powiekami widzę cały pochód, chorągiewki, plakaty i ludzi o różnym kolorze skóry. Śpiewają chórem: Miłość zamiast wojny...

6. Nie!

Dzisiaj w południe szef zaprosił mnie na obiad. Zdarza mu się to od czasu do czasu i jest nawet miłe. Jest odprężające niczym niedzielny obiad w środku tygodnia, ale Béatrice nie podziela mego zdania; uważa, że ten rytuał jest paternalistyczny, staroświecki, tak twierdzi, kiedy jest w dobrym humorze. Kiedy nie jest, uważa to za odrażające. Obrzydliwe. „Znowu! Znowu idziesz na obiad z tym grubym wieprzkiem!”.

Przed wszystkim on nie jest gruby, jedynie nieco zaokrąglony. A poza tym nie jest wieprzkiem, jest nawet bardzo ludzki.

Tym razem wybrał restaurację indyjską. To mi odpowiada; przez chwilę przestraszyłem się, że wybierze włoską - na widok pizzy zabrakłoby mi zapału.

Béatrice dzisiaj rano dała mi dyrektywy: „Wykorzystaj to, żeby zbadać teren. Ten gruby wieprzek na pewno wie, czy w pobliżu nie ma jakiejś apteki do kupienia”.

Wyjaśniłem jej, że mój szef ma imię, a ona wybuchnęła śmiechem: „Kiedy ma się na imię Aimé, powinno się być miłym! Chyba nie chcesz, żebym tego grubego wieprzka nazywała Aimé!”.

Béatrice jest wyjątkiem; generalnie Aimé jest ceniony (przez klientów, kolegów, swoje dzieci, a nawet przez żonę). Zastanawiałem się czasem, czy jego imię nie ma z tym czegoś wspólnego, i nawet miałem trochę za złe swoim rodzicom, że nie wpadli na ten sam pomysł. Po winniśmy wybierać imię, kiedy dorośniemy. Ja wybrałbym właśnie to.

Siedzieliśmy od dłuższej chwili przy stoliku i rozmawialiśmy sobie spokojnie. Obawiałem się chwili, kiedy on wskaże mi jakąś aptekę na sprzedaż - nie byłoby zbyt uprzejmie z mojej strony, gdybym zatkał sobie ostentacyjnie uszy w samym środku obiadu. Ale chodzi o coś innego: Aimé ma kuzyna, który również jest farmaceutą i który chciałby mieć własną aptekę.

- Gdybyś słyszał coś o jakiejś aptece na sprzedaż, daj mi znać, Benjamin.

- Nie omieszkam.

Potem pyta o moją córkę - to wchodzi w skład rytuału.

- Ma się dobrze! Jest bardzo żywa! Jest w najstarszej grupie w przedszkolu, a już potrafi napisać kilka słów...

Zatrzymuję się. Przypominam sobie, że niektórym duma z dzieci wydaje się głupia. Trudno. Będę dumny z Marion, nie trąbiąc o tym na wszystkie strony. Trąbienie jest zbyt hałaśliwe.

Gdybym był powieściopisarzem, wynalazłbym bohatera, który uwielbia swoją córkę i jest z niej bardzo dumny. Pisałbym bardzo rozczulające powieści. Czytając je, ludzie myśleliby: Jaki ten chłopiec jest wzruszający! Zwłaszcza kobiety uważałyby, że jestem rozczulający - jaki on jest uroczy! Byłyby to cukierkowe powieści, kliwie i słodkie...

Drgnąłem. Aimé zadał mi pytanie:

- A Béatrice? Jak ma się Béatrice?

- W porządku.

Nie lubię kłamać. Przede wszystkim czuję się wtedy nieswojo, a poza tym... pamiętać o wszystkich kłamstwach jest rzeczą skomplikowaną. „W porządku” zdaje mi się być dobrym kompromisem, przy którym nie wyszczególniam różnych możliwości. Bo w końcu o której Béatrice on mówi? Mam tylko jedną żonę, ale jest w niej kilka kobiet.

Autorka literatury dziecięcej ma się świetnie. Przyjaciółka Baranów i spółki czuje się znakomicie - czyż nie jest znakomita? Kobieta mijana na ulicy czuje się jak najlepiej - czyż nie jest urocza? Mama Marion ma się dość dobrze, mimo nieuporządkowanej bielizny i porozrzucanych zabawek. Żona Benjamina ma się źle. I nie bez przyczyny: jej imbecyłowaty mąż niczego nie rozumie z życia, odmawia kupienia apteki (co jest przecież całkiem oczywistym dążeniem), skończy się tak, że zostanie ukarany, poniżony, jak ta ciapa Aurélien, który dobrze sobie na to zasłużył, został przecież uprzedzony.

Zatem, reasumując, „w porządku” zdaje się być odpowiednie.

Aimé mówi o książkach Béatrice. Przeczytał kilka i podobały mu się, przy okazji zauważam, że nie wymienił *O siusiu i kupie*. Krótko mówiąc, o dziełach Béatrice wyraża się jak najlepiej. Czuję się trochę skрэpowany. Gdyby wie dział, że ona nazywa go grubym wieprzkiem... Korci mnie, żeby ją wydać. Ale ta chęć szybko mi przechodzi: chciał bym ukarać Béatrice, denuncjując ją, ale to jemu sprawił bym przykrość.

- Podoba ci się to, co robi twoja żona?

To zależy... Myślę o Béatrice w łóżku i waham się. Myślę o Béatrice, która krzyczy, i krzywię się. Wreszcie myślę o Béatrice, która pisze, i mówię „tak” - zapominam o *O siusiu i kupie*, nikt nie jest doskonały.

- Benjamin... Muszę ci coś powiedzieć... - Przybiera inny ton. Nicco inny... - Jeśli ci o tym mówię, to dla twojego dobra...

Aj! Odczuwam instynktowną nieufność wobec wszelkich słów wypowiedzianych dla mojego dobra. Marszczę brwi i czekam na dalszy ciąg.

- Nie odbierz źle tego, co ci powiem. To nie po to, żeby cię zanudzać, wiesz dobrze, ale żeby ci pomóc.

O nic nie prosiłem. Ludzie, którzy chcą mi pomóc, po mogliby mi lepiej, przestając chcieć mi pomóc.

- Jesteś doskonałym farmaceutą, Benjamin, mam do ciebie pełne zaufanie, wiesz o tym doskonale, i jestem bardzo szczęśliwy, że pracuję z tobą...

Ale? Niech wreszcie wydusi!

- To, co mnie trochę niepokoi, to że... To dotyczy relacji z kolegami...

Co? O mało nie zakrztusiłem się ostatnim kęsem. Z kolegami? Oddaję przysługi, wyciągam z kłopotów, zajmuję się uciążliwymi klientami, telefonuję do lekarzy, którzy piszą nieczytelnie... Czego im jeszcze trzeba?

Przełykam gęstą gulę, która zagnieździła się w głębi mojego gardła, i artykułuję:

- Bądź szczery, Aimé, proszę cię. Co mi zarzucają?

- Oni? Ależ nic! Dla nich wszystko jest w porządku. To ja... Zaobserwowałem, co dzieje się między wami, i zdecydowałem się z tobą porozmawiać.

- Słucham cię.

- Benjamin, naucz się mówić nie.

- Nie!

- To dobry początek, idź dalej!

- Nie, nie, nie, nie, nie, nie. Tak jest dobrze?

Uśmiecha się niemal serdecznie. Béatrice uznałaby go za odpychającego, czują to.

- Benjamin, jesteś zbyt miły. W życiu wychodzi ci to na dobre, ale nie w aptece. Oni to wykorzystują. Chcesz być usłużny, a oni nie liczą się z tobą. Naucz się mówić nie.

Łapię się na tym, że przybieram minę wyrażającą powątpiewanie, minę w stylu Béatrice. Dlaczego zabieram ją wszędzie ze sobą?

- A tego można się nauczyć?

- Na szczęście. To kwestia treningu. Na razie nie jesteś wytrenowany, nie jesteś przyzwyczajony do odmawiania i kiedy chcesz powiedzieć komuś nie, zgadzasz się wbrew swojej woli. Widziałem cię w akcji wczoraj, przy tej historii z kartonami do wyrzucenia. Nie umiałeś odmówić.

- Ale! To nie było nic poważnego, nie umarłem od tego.

- Tak, ale zaczyna się od małych ustępstw, a kończy na dużych.

Czuję się coraz bardziej nieswojo. Nie podoba mi się ta rozmowa... dla mojego dobra. Niech już z tym skończy, niech już skończy z tym dawaniem lekcji. Nie krzyczy, przynajmniej tyle, ale jeszcze trochę, a poczuje się jak u siebie w domu. A skoro jest taki mądry...

- A jak mam się tego nauczyć? Mam powtarzać „Nie!” każdego ranka w swojej łazience?

- Nie, ucz się na drobnych rzeczach, odmawiaj drobnych usług, żeby w odpowiedniej chwili być zdolnym od mówić spełnienia prośby będącej nadużyciem. Odmawiasz zadzwonienia zamiast kolegi, żeby później odmówić wymienienia się dniem urlopu. Zaczynasz od odmawiania robienia małych rzeczy, żeby móc potem odmówić większych. W ten sposób się to leczy...

- Ach? Bo to jest choroba?

- Tak... Ale z tego można się wyleczyć.

- Ty?

- Tak, ja również... Gdybyś mnie kiedyś znał... Dawałem sobie wchodzić na głowę, można mnie było poprosić o wszystko. Stawałem się taki, jakim chciano, żebym się stał. Byłem już tylko statystą we własnym życiu, patrząc, obserwując to, co inni robili ze mnie... Ty jeszcze nie jesteś na tym etapie.

Pozostawiam to bez komentarza. Kiwam głową, a on podejmuje na nowo: - Jeśli chcesz nauczyć się mówić nie, trenuj regularnie. Następnym razem, gdy żona poprosi cię... nie wiem, o oddanie jej przysługi, która ci trochę przeszkadza, ale nie tak bardzo...

- Pójdziecie po pizzę.

- No właśnie, coś w tym rodzaju. No więc powiedz jej grzecznie, że nie masz ochoty, że może sama po nią pójść. Widzisz, to nic nie kosztuje, ale przyzwyczajai cię do odmawiania. Potem będzie się to samo przenosiło z jednej dziedziny na drugą; będziesz trenował w domu, gdzie nie przysporzy ci to kłopotów, żeby móc powiedzieć nie w pracy, gdzie jest to trudniejsze.

Albo odwrotnie...

- Tak... I w ten sposób zrażę do siebie wszystkich?

- Umieć mówić nie to zaakceptować myśl, że nie wszystkim się podobamy. Często się zgadzamy, żeby się przypodobać. Nie odwołujemy się do rozsądku, ale do obawy, że zostaniemy źle osądzeni. Nie zastanawiamy się, czy przysługa, której się od nas oczekuje, jest uzasadniona. Zastanawiamy się, jak będziemy ocenieni w przypadku odmowy. Nie mówię, że masz wszystkiego odmawiać, mówię, że powinienes dokonywać selekcji. Mamy mózg, a zapominamy się nim posługiwać. Unikanie odmawiania z obawy, że się nie spodobamy, nie tylko nie jest rozsądne, jest daremnym trudem: i tak w końcu zostaniesz

źle osądzony, będziesz brany za kogoś, komu brakuje osobowości... albo za fagasa. Tak czy inaczej będziesz cierpieł.

Dobrze... mam ochotę zapytać go, ile jestem mu winny za tę lekcję. I czy przyjdzie do mnie użyzyć swoich bębenków do słuchania łagodnego głosu Béatrice, kiedy będę trenował, jak to nazywa. Łatwiej komuś doradzić niż pomóc.

- Benjamin... Rozumiesz mnie?

- W porządku, umiem posługiwać się mózgiem, wiesz.

- Uraziłem cię?

- Ależ skąd, nie. Widzisz: umiem powiedzieć nie. Powiedz mi, ta twoja metoda, twój trening, przetestowałeś ją osobiście?

- Tak! Miałem szczęście, że poznałem tę metodę w porę. Uratowała mi życie...

Jestem zaintrygowany. Wizyta u jakiegoś szarlatana zupełnie nie pasuje do Aimé. A może u psychoterapeuty? U Pana Szaraczka...?

- Nie chciałbym być wścibski, ale... Kto cię tego wszystkiego nauczył?

- Plutarch.

- On przecież nie żyje?

- Niezupełnie. Słowo pisane nie umiera...

Podobnie jak krzyki; nie umierają, rezonują długo po tym, jak zamilkną. Słowo pisane również czasami rezonuje długo po tym, jak je przeczytaliśmy, ale rezonans nie jest ten sam. Słowo pisane, wybieramy je... Plutarch wybawca? Gdyby Béatrice to słyszała, długo nie przestałaby się drwiąco śmiać.

- Plutarch uratował ci życie?

- Tak, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby go przeczytać. Zdarzyło się to zupełnie przypadkiem: ktoś zostawił książkę w pociągu, książkę Plutarcha. Z ciekawości ją przejrzałem. I... zrozumiałem,

że mówi o mnie, że przemawia do mnie. Zawdzięczam zbawienie jakiemuś nie znajomemu. Wolę myśleć, że to była nieznajoma. Miałem wtedy kłopoty z kobietami...

Milczy przez chwilę. Pozostawiam go jego wspomnieniom. Nie chcę mu przeszkadzać.

Nagle:

- Benjamin?
- Tak?
- Mam problem jutro... Czy mógłbyś zostać trochę dłużej w pracy, jakąś godzinę?
- Tak.
- Nie!
- Przepraszam... Nie, nie mogę, przykro mi.
- Cholera!... Zapomniałem karty kredytowej. Czy mógł byś, proszę, zapłacić za mnie rachunek?
- Tak... Nie, znajdą cię tutaj, poproś, żeby wysłano ci rachunek.

Tak oto mam u boku trenera. W co ja się pakuję? Nie mam zacięcia sportowego, nie!

7. Rzeźbiarz i scenarzysta

Najpierw widzę tylko ją.

To prawda, jest piękna...

Jak się w niej nie zakochać?

Potem ona widzi mnie: „Patrz, to ty tutaj?”.

Po czym: „Chodź, przedstawię cię!”.

Jeszcze później widzę jego. Mężczyznę w średnim wieku, o artystycznym wyglądzie, w jej typie, z trzydniowym zarostem, o wypracowanym zaniedbanym wyglądzie, wyluzowanej postawie, wyglądzie artysty... i grubo ciosanej twarzy. Wygląda to tak, jakby rzeźbiarz zapomniał ją obrobić, ująć materii i wysubtelnić rysy. Takie odnoszę wrażenie: ten facet jest niedokończony.

To wcale nie przeszkadza mu być uprzejmym, niezmiernie ucieszonym. „Jak się pan ma? Czy chce się pan czegoś napić?”. Ble ble ble. Jeszcze nie zdążyłem otworzyć ust, a już słyszę te puste słowa. W moim przypadku to nie rzeźbiarz zaniedbał swoją pracę, nadając mi formę, ale mój scenarzysta: nie przepracował się, wcisnął mi banalny tekst, cały czas te same repliki, nic motywującego do grania. Więc po co grać? Wyrzucam w diabły scenariusz, już nie gram. Przede wszystkim nigdy nie prosiłem się o granie.

- Benjamin, przedstawiam ci Martina, rysownika, którego wybrałam do mojej następnej książki.

Niedorobiony facet wyciąga do mnie rękę.

- Dzień dobry, jak pan się ma?

Z tobą jest to samo, stary, twój tekst też jest beznadziejny i za bardzo silisz się na przybranie odpowiednie go tonu, nie wierzymy w to, co mówisz. Béatrice dobrze mi wytłumaczyła, co to znaczy zanadto się wysilać. Masz w nosie, czy mam się dobrze, czy źle, i gdybyś miał wybór, to może wołałbyś, żebym miał się źle. Kto wie...

Nie proponuję niczego do picia. Nie jestem kelnerem, tylko skromnym farmaceutą.

Facet mówi coś do mnie wesoło, bardzo ceni teksty Bèi i bardzo się cieszy, że będzie je ilustrował, że sprawi, iż ich wyobraźnie będą współgrały ze sobą, znajdą wspólny język, otworzą drzwi i okna...

Ten gość ma nie całkiem dopracowaną twarz, ale za to dialogi... Jego opowieść o otwartych drzwiach i oknach nie wzbudza we mnie zaufania, nie lubię przeciągów. Robi mi się zimno.

- Dobrze... porozmawiajcie sobie, ja pojedę po Marion.

- Pójdę już - mówi artysta, biorąc marynarkę.

- Odprowadzę cię, Martin - mówi zaraz Béatrice. I od wracając się w moim kierunku: - Zostań, Ben, odbiorę Marion po drodze.

To prawda, przez moment uległem roztargnieniu, za pomniałem o regulaminie: to ona odbiera Marion z przedszkola, to jej przywilej.

Martin znowu wyciąga do mnie sflaczałą rękę. Czy czymś takim można w ogóle rysować?

Béatrice stoi, wysoka, piękna, z sylwetką modelki... i elegancka. Ma subtelny, uwodzicielski makijaż. Podobnie z biżuterią. Wszystko

w dobrym guście... Wszystko z umiarem. Jej rzeźbiarz skończył swoją pracę, to pewne, i nie oszczędził środków. Obserwuję ją. Béatrice jest wystrojona... Czy to z powodu Martina?

- Zaraz wracam - mówi.

- Miłego wieczoru - dodaje on.

Odmawiam wypowiedzianego tekstu scenarzysty: „Panu również”.
Improwizuję: „Miłego powrotu”, co nie jest dużo lepsze. Ale tak rzadko improwizuję...

Wyjście artystów.

Jestem sam w kuchni.

Sam przez kilka minut. Nigdy nie jestem sam, z wyjątkiem pobytów w łazience.

Zawsze ktoś jest. Ludzie, na których trzeba patrzeć, zdania, które trzeba wypowiedzieć. Nigdy nie jestem sam?

Nie jest to wcale takie pewne...

W każdym razie nikt mnie teraz nie widzi. Więc mogę. Mam na to ochotę już od dawna.

Pozwalam sobie na to. Dalej, zrób to, wrzuć sobie na luz.

Siadam na taborecie w kuchni, na który Marion się wspina, żeby dosięgnąć szaf.

Siadam z łokciami na stole i opieram głowę na rękach.

Zamykam oczy.

Z głową między rękoma i ciszą wokół jest mi dobrze.

Nie myślę o niczym...

Kiedy mówimy, że nie myślimy o niczym, to znaczy, że myślimy o wielu rzeczach, chaotycznych, zagmatwanych, niestosownych...

Myślę o sportowcach, którzy się izolują, żeby się skoncentrować przed zawodami. Podobno opróżniają głowę z myśli. Ja powinienem ją raczej napełnić.

Myślę o lawie pustej w środku, podobnej do mnie.

Myślę o rysowniku źle narysowanym.

Myślę, że Béatrice mu się podoba, co jest normalne, co nie jest niczym zaskakującym. I przyjmuję to bez emocji. Podoba mu się, bo nie jest ślepy, no i co z tego? To zna czy, że jego rzeźbiarz tak zupełnie go nie sknocił, tym lepiej dla niego.

Myślę, że podoba się Béatrice. Wydaje mi się, że jest w jej typie. Myślę, że to powinno mnie niepokoić. Powinno nam przynajmniej zadać sobie pytanie, a może nawet być zazdrosny. Podoba jej się, i co z tego? Podoba jej się, tym lepiej dla niego.

Myślę, że coś tu nie gra: pociąg, jaki Béatrice może od czuwać do innego mężczyzny, zupełnie mnie nie wzrusza. Mówię sobie: „No, proszę” albo: „Ach tak”. To jest zbyt mdła reakcja. To nie jest reakcja.

Myślę, że gdyby Béatrice przespała się z tym nedorobionym facetem, zastanawiałbym się, czy będzie miał prawo do tego samego cyrku co ja, do tych samych scenariuszy, tych samych słów, czy wprowadziłaby jakieś innowacje. Zastana wiałbym się, czy on to lubi, ten cały cyrk. Zastanawiałbym się też, czy przy nim krzyczy. Po „Ależ Benjamin!” nastąpiłoby teraz „Ależ Martin!”. Nie byłaby to dla niej duża zmiana.

Myślę, że jestem nowoczesnym mężczyzną: wierność mojej żony jest mi obojętna.

Myślę, że gdyby przespała się z nim, byłbym wyzwolony od wieczornych ceremonii, od uczucia rozpacz, od zastanawiania się za każdym razem, kiedy uprawiamy miłość. Miłość, a nie gimnastykę; miłość, a nie wojnę...

Myślę, że jestem mężczyzną-przedmiotem i uśmiecham się na tę myśl.

Myślę, że powinienem uprzedzić ewentualnego następcę, z solidarności: uwaga, niebezpieczeństwo.

Myślę, że...

Mam dreszcze na całym ciele, lód na skórze... Marion. A gdzie Marion w tym wszystkim?

Wszyscy mężczyźni świata mogą sypiać z Béatrice, jeśli tylko mają na to ochotę. Ale gdyby Marion miała mieć drugiego tatę, zastępczego tatę, mówię nie. Nie... Myślę o Aimé, o jego lekcji.

Odgłosy kroków, głosy...

Odrywam ręce od głowy. Wstaję i zabieram się do nakrywania do stołu.

- Tato!

Przybieram taką minę, jakbym został oderwany od zajęć. „Poczekaj, skarbie, położę tylko talerze” - po czym biorę ją w ramiona i podnoszę wysoko, bardzo wysoko, ona to uwielbia.

- Jeszcze, tato!

Dotknąć sufitu to dopiero frajda.

- Jeszcze ostatni raz, zgoda?

Stawiam ją na podłodze, ona opowiada... Pokłóciła się w przedszkolu, nie, to ktoś inny się pokłócił, ale jako że jest koleżanką jednej ze stron, została w to zamieszana, a inni wszystko pomylili i przypisali jej wywołanie kłótni... to zbyt skomplikowane. Mam kłopot z nadążeniem za zwrotami akcji, mam zamęt w głowie od tego wszystkiego. Poproszę o drugą edycję, ale...

- Benjamin, pracowałam całe popołudnie z Martinem, nie miałam na nic czasu. Możesz pójść po pizzę? Proszę.

- Nie... wiesz, nie mam ochoty na pizzę. Przygotuję omelet.

- Nie lubię omeletów, za dużo ich się najadłam, jak byłam mała.

- To makaron...

Wzdycha.

- Chcesz mi się sprzeciwić, Benjamin?

Potrząsam głową.

- Dobrze, bądź tak miły i idź po pizzę, to będzie mimo wszystko bardziej oryginalne niż makaron!

Nie jestem tego taki pewien.

- Chcesz koniecznie zjeść pizzę, Béatrice?

Uśmiecha się wyrozumiale, niczym nauczycielka do mało zdolnego dziecka, grzecznego, ale trochę wolno my ślącego.

- Tak, przy pizzy jest sympatycznie, wesoło. No, idź już!

- Jeśli chcesz pizzę, zgoda, ale idź po nią sama...

- Co?

Zbrodnia obrazy majestatu.

- Mówię, że możesz iść po nią sama, ty też wiesz, gdzie to jest.

- Co cię napadło, Benjamin, żeby do mnie mówić tym tonem?

- Nic. Nic mnie nie napadło. Ale jeśli chcesz pizzę, to idź sobie po nią sama.

- Rozczarowujesz mnie w tym momencie, Benjamin! Chcesz po prostu zasiąść do gotowego stołu. Należy iść z duchem czasu, te historie już się skończyły! Możesz zapomnieć o modelu swoich rodziców! Zapomnieć! Te czasy się skończyły!

Pierwsze krzyki.

Marion idzie się schować do swojego pokoju - po kłótni w szkole kłótnia w domu... która z nich jest w jej oczach trudniejsza?

- Uległość kobiet, Benjamin, te czasy już minęły!

- Doskonale o tym wiem...

- Żałujesz? To by ci się podobało? Chciałbyś, żebym była na twoje usługi? Żebym była ci posłuszna?!

- Nie, to by mi się nie podobało, Béatrice... To, że jestem mężczyzną, nie znaczy, że muszę być macho.

- Znam tę gadkę na pamięć! Jestem za równością płci, ale! Zawsze są jakieś ale! Jestem ci równa, ale!

- Nie krzycz, proszę cię...

- Nie krzyczę!

- Krzyczysz...

- Ach, łatwo ci powiedzieć! Gdy tylko wyrażam swoje zdanie, od razu krzyczę! To jest ucieczka, Benjamin, to typowy objaw. Mówisz, że krzyczę, żeby mnie nie słuchać! Ale... Co tam robisz? Gdzie idziesz?

- Uciekam.

Popycham drzwi sypialni.

- Benjamin, wracaj!

- Nie, wrócę, jak się uspokoisz.

- Nie mów do mnie tym tonem. Nie wiesz, jaką sprawiasz mi przykrość... To jest...

Jej głos drży, słowa zanikają...

Zatrzymuję się w drzwiach sypialni.

Czekam...

Nasłuchuję...

Szloch, takie ładne szloch... Przeklinam Aimé'go i je go pomysły. To przez niego moja żona płacze *per procura*. Ona jest delikatna, wrażliwa... A to wszystko po to, żeby uniknąć pójścia po pizzę! Co za bzdura!

Podchodzę do niej.

Płacze cicho, jak małe dziecko. A ja jestem powodem jej płaczu.

- Nie chciałem sprawić ci przykrości, bardzo mi przykro...

- Mylisz się co do mnie, Benjamin, sądzisz, że jestem twarda, że jestem nieczuła i że jestem... A ja jestem bardzo wrażliwa. Kiedy tak się do mnie odzywasz, to jakbyś mnie uderzał, czuję się zdruzgotana.

Podnosi na mnie zagubiony wzrok. Wołanie o pomoc.

Ocieram jej łzy, mówię, że już po wszystkim, że nie będziemy się przecież klócić o takie głupstwa, że to jest zbyt smutne, żeby Marion musiała tego wysłuchiwać...

Kiwa wdzięcznie głową.

- Tak... Każdy powinien uczynić wysiłek... Nabrać świadomości, że nie można za dużo wymagać od drugiej osoby... Zwracać uwagę na to, żeby nie ranić... Widzisz, Aurélien tego nie potrafił.

Aurélien? Znowu on? Niech przyjdzie z nami zamieszkać, skoro cały czas o nim mówimy.

- Benjamin, pójdę pocieszyć Marion, jest smutna za każdym razem, kiedy źle się do mnie odnosisz. Ona tego nie rozumie: jej tato jest bardzo grzeczny i nagle to przez niego mama płacze. To zakłóca jej spokój. Niechybnie utożsamia się z mamą... Pocieszę ją, a ty w tym czasie pójdziesz po pizzę, nie możemy jeść kolacji zbyt późno, jutro jest szkoła...

Z ręką na klamce drzwi pokoju Marion uśmiecha się do mnie niczym rekonwalescentka. Uśmiecha się do mnie wyrozumiała, delikatna i wrażliwa.

- Klócić się z powodu pizzy... Jesteś niesamowity, Benjamin...

Wychodzę.

Idę przed siebie bez celu.

Jak za młodu, kiedy, wracając do domu, wyobrażałem sobie, że idę gdzie indziej. Gdzie indziej...

Mam ochotę uciec...

8. Zagrożony króliczek

Mam mdłości. Mam ściśnięty żołądek. Czegoś nie mogę strawić...
Czy to wina indyjskiej kuchni?
Coś mi leży na żołądku.

Pierwsza próba się nie powiodła.

Jestem facetem niezdolnym powiedzieć nie. Godnym pożałowania. Pizza jest obrzydliwa. Tektura, ołów, beton. Nie do strawienia.

Każdy kęs jest dla mnie torturą. Ale zmuszam się dla Marion. Jeden kęs dla Marion, drugi... Inaczej ona nie skończy swojej porcji, powie: „Ja też już nie chcę!”. Uzna, że ma do tego prawo. Dałem jej przykład, zły przykład. Jeśli nie skończy, zostanie pozbawiona deseru, nie dostanie jogurtu, niczego - kiedy nie kończy się tego, co jest na talerzu, to znaczy, że już nie jest się głodnym.

Już nie mogę. Przedawkowanie pizzy. Odkładam sztućce, trudno, obejdę się bez deseru.

- To prawda, że przy pizzy jest biesiadnie i wesoło! Moja matka miała alergię na samą myśl o kupieniu czegokolwiek „gotowego”. Dla niej kobieta, która kupuje gotowe dania, jest złą matką, niezdolną poświęcić się żywieniu rodziny. Zawsze marzyłam o zjedzeniu

prawdziwej pizzy, tak jak moje koleżanki, ale ona chciała za wszelką cenę robić ją sama. W rezultacie to nie były pizze, tylko tarty pomidorowe! A to wszystko dlatego, że nie udało jej się przełamać idiotyczne go poczucia winy! Wiesz, o co mi chodzi, Benjamin?...

Wiem. Marion, ciesz się, twoja matka ofiaruje ci wszystkie pizze, których była pozbawiona w dzieciństwie. Nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara! Trzy pizze tygodniowo. Podziękuj mamie, moje kochanie. I mogę się założyć, że twoje dzieci będą pozbawione pizzy, jak twoja mama, bo nie będziesz mogła patrzeć na pizzę. Zatem twoje dzieci będą przekarmiały pizzami twoje wnuki i tak dalej, historia się powtórzy. Co druga generacja będzie miała pizzofobię, a pozostałe manię na punkcie pizzy.

- Wyglądasz na zamyślonego, Benjamin, o czym myślisz?

- O konflikcie pokoleń.

- I to odbiera ci apetyt? Już nie jesz?

- Nie, jest mi... Jest mi niedobrze. Nie mogę już nic przełknąć.

Marion natychmiast odsuwa swój talerz. Jeszcze pełny, niech tam!

- Mnie też jest niedobrze, już nie mogę, mammo.

- Marion, masz skończyć!

- Jest mi niedobrze - mówi Marion słabym głosem, który przyprawia mnie o ból serca.

- Nie było ci niedobrze, zanim twój ojciec nie poddał ci tego pomysłu. Więc skończ jeść.

- Jest mi za bardzo niedobrze...

- Marion, przestań! Masz skończyć pizzę!

Marion otwiera usta i natychmiast je zamyka, milczy. Widzę, jak spod jej powiek spływa po policzku mała, dyskretna, lekka kropla. A przecież taka ciężka. Czy przyszedłem na ziemię po to, żeby płakała

przeze mnie grzeczna mała dziewczynka?

Plakała, dlaczego? Bo musi na siłę przełknąć trzecią pizzę w tym tygodniu. Ta lza jest sławetną kroplą przepelniającą czarę. Miarka się przebrała.

Nachylam się do Marion, żeby powiedzieć jej po cichu:

- Jeśli masz nudności, moje kochanie, to nie jedz więcej.

Biorę jej talerz i swój, sprzątam resztki i zanoszę je do kuchni, zmierzam w kierunku kosza na śmieci.

Béatrice podchodzi do mnie.

- To, co robisz, Benjamin, jest niezdrowe. Podważasz mój autorytet, pozwalasz na to, czego ja zabraniam... Otwarcie mi zaprzeczasz...

O, nie! Wystarczy już łez! Dość płaczu! Inaczej ja też będę płakał. Jak będziemy wyglądali, gdy zaczniemy płakać wszyscy troje? I kto nas pocieszy?

- Przykro mi, Béatrice. Nie chciałem podważać twojego autorytetu, ale nie mogę wymagać od Marion, żeby skończyła jeść, jeśli ja nie skończyłem.

Jedna, druga, trzecia lza. Nie widzę ich, nie istnieją.

- Chcesz jogurt, Béatrice? A może jakiś owoc?

- Już nie jestem głodna...

Jeden, drugi, trzeci szloch. Nie słyszę ich.

Biorę jogurt, cukier, biszkopt i zanoszę wszystko Ma rion.

Rozmawiam z nią. Co nowego w przedszkolu, oprócz tej sławetnej kłótni? Jeden mały chłopczyk płakał bardzo głośno. Miała ochotę go pocieszyć, ale nie śmiała. Nie chciała zarazić się jego smutkiem.

Zamierzam jej powiedzieć, że smutkiem tak łatwo się nie zaraża, ale zmieniam zdanie. Tak łatwo zarażam się smutkami Marion...

Poza tym mamy wizytę: Béatrice.

Sprząta ze stołu bez słowa, z mokrymi oczami, smutnym spojrzeniem, przygnębioną miną. Jesteś piękna, nawet kiedy płaczesz, twój rysownik byłby zauroczony... ale nie zarazę się twoim smutkiem. Mam dosyć swojego.

Kąpanie Marion. Kojąca cisza.

Kładzenie Marion. Delikatny głos Béatrice, przepowiednie na suficie.

Wieczorny pocałunek, nadzieja...

- Benjamin, przestańmy się kłócić o głupstwa, zwłaszcza przy Marion.

Przyznaję jej rację.

- Pogódźmy się, uśmiechnij się do mnie, mój mały króliczku.

Czy ja wyglądam na króliczka? Być może. A co będzie, jeśli trafię do rondla?

- Uśmiechnij się do mnie, Ben, kocham cię.

Ach tak?

Głaszczesz mnie po policzkach, przesuwa ręką po włosach. Mam wrażenie, że jestem z lodu. Albo jestem zamrożonym królikiem. Rysownik z pewnością bardzo chciałby być na moim miejscu.

- Zrobię sobie kawę, chcesz napić się ze mną, Benjamin?

- Nie, dziękuję.

- Usiądź w końcu, odnosi się wrażenie, że przyszedłeś w odwiedziny.

Słuszne spostrzeżenie.

- Nie powiedziałeś mi, jak obiad z tym grubym wieprzkiem.

- Dobrze...

- Zastanawiam się, jak w ogóle możesz z nim rozmawiać...
- Jakoś mi się udaje...
- Mówiłeś mi, że szukasz apteki? Założę się, że znowu zapomniałeś.

- Rozmawialiśmy o tym, ale jest już obarczony misją znalezienia apteki dla kuzyna. Rozumiesz zatem, że jeśli o czymś się dowie, to jego kuzyn będzie miał pierwszeństwo.

- Jego kuzyn? Ale czy on jest farmaceutą?
- Tak, gdyby był piekarzem, szukałby piekarni.
- Benjamin, nie mogę w to uwierzyć. Niby przez przypadek kuzyn tego grubego wieprza jest farmaceutą i też szuka apteki?
- Możesz go zapytać, jeśli mi nie wierzysz.
- No to co ci opowiadał ten gruby wieprzek?
- Historie grubego wieprzka, czyli nic interesującego... A twój rysownik?

- Martin? Jest wspa-nia-ły! Bardzo kreatywny. Widzisz... Jeśli chodzi o Sylvie, to podobały mi się jej rysunki, ale... jej samej nie mogłam ścierpieć. Nie mówiłyśmy tym samym językiem. Z Martinem rozumiemy się bez słów.

Sylvie miała podstawową wadę, która uniemożliwiła jej podobać się Béatrice: była kobietą. Umarła od tego. Na raka piersi. To było uciążliwe, zwłaszcza pod koniec - ta chemia, zmęczenie, fatalne samopoczucie... Béatrice woli męską publiczność - i to w dobrej formie.

- Bardzo lubiłam Sylvie, pamiętasz, Benjamin, ale to stawało się nie do wytrzymania, zbyt trudne. Byłam załamana, kiedy ją widziałam. Jestem taka wrażliwa.

Wiem, do czego zmierza. Z Béatrice stanowimy prawdziwą parę: porozumiewamy się telepatycznie. Zgaduję, co mi powie. Więc po co męczy się mówieniem?

- No, pocałuj mnie na zgodę. Wiesz, to normalne, że się kłócimy, mężczyznom trudno jest zrozumieć dzisiejsze kobiety, zmieniły się, chcą wyrażać siebie. Mężczyźni muszą się dostosować i przychodzi im to z trudem. Widzisz, to, co dzieje się między nami, jest w zasadzie czymś banalnym. To są małe niedole zwyczajnej pary. Mimo to się kochamy, Ben... Pocałuj mnie...

Myślę o królicu w rondlu. Potem wyobrażam sobie, jak składam skargę o molestowanie seksualne: kpiny rozweselonych policjantów, konsternacja, kiedy odkrywają, kto mnie molestuje - prawdziwa piękność, o co temu facetowi chodzi? Chciałbym być molestowany przez taką laskę. Perły przed wieprze.

Składam niewinny pocałunek na jej czole.

Chwyta mnie żywo, przyciąga do siebie, wkłada mi język do ust i obraca nim na wszystkie strony. Béatrice ma duży język, mam nawet wrażenie, że jest ich kilka. To nie wygodne, to, jak buszuje w moich ustach, mogłoby się zdawać, że mnie bada, to brutalne, niemal bolesne.

W końcu przestaje.

- To był tylko aperitif, mój mały króliczku... Główne danie dostaniesz niedługo.

Korzystam z chwili przerwy, żeby poczytać.

Kiedy czytam, jestem sam. Jestem w łóżku. Béatrice mówi, że łóżko służy do tego, żeby w nim spać, żeby się kochać, a nie żeby czytać. Ja zabieram autora ze sobą do łóżka, to jest bardziej intymne.

A więc czytam albo raczej próbuję; przychodzi mi to z trudem, z dużym trudem. Co drugą linię widzę „królik” albo „gruby wieprzek”, albo „pizza”, albo „rondel”, albo „apteka”. Nic z tego nie rozumiem. Kto wydaje ta kie bzdury?! Nagle czytam „nauczyć się mówić nie”.

Jest to być może historia króliczka, który mówi nie rondlowi, i grubego wieprza, który sprzedaje pizzę w aptece. Zamykam książkę, nie lubię takich historii.

Gdyby Marion nie spała, poszedłbym jej podkraść bajkę o księżniczce, która mówi cichutko i nigdy nie płacze.

Gaszę światło i przyciskam poduszkę, ale nie ściskam jej zbyt mocno, tylko tak, jakby to była księżniczka, niezwykle łagodna, przebrana za poduszkę, żebym mógł z nią spokojnie spać. Księżniczka, z którą kochałbym się nieskończenie łagodnie. Wyobrażam sobie... Marzę. I proszę niebiosa, żeby ogarnęła mnie senność, zanim trafię do rondla.

9. Niedole zwyczajnego królika

Na próżno prosiłem niebiosa i na darmo snułem marzenia.
Rondel już nadchodzi.

Jest zdeterminowana, a ja jestem tylko biednym małym króliczkiem... To bardzo smutne. Gdybym nie był sobą, byłoby mi przykro utożsamiać się ze sobą. To nic nie znaczy. Jako królik jestem beznadziejny. Godny pożałowania.

Gdybym był powieściopisarzem, napisałbym historię o biednym małym króliczku gonionym przez bardzo twarde metalowy rondel. Zatytułowałbym tę historię *Niedole zwyczajnego królika*. Jako że mam uszy średniej wielkości i ani cienia wąsów, nikt nie odgadłby, że to opowiadanie autobiograficzne. Ale wszyscy - a zwłaszcza łagodne kobiety (jestem przekonany, że takie istnieją) - uważaliby biednego małego króliczka za bardzo miłutkiego, bardzo ujmującego, i to pocieszyłoby mnie nieco.

Tymczasem rondel przechodzi do ataku:

- Chodź, mój króliczku, chodź tutaj...

Udaję głuchego królika.

Już moja ręka została wprowadzona, ułożona płasko na wskazanym miejscu. Jak zwykle...

- Przeczytałam bardzo podniecającą książkę erotyczną, jestem rozpalona, jestem gotowa, bierz mnie, pieprz mnie, rznij mnie, wal

mnie, pragnę poczuć dotknięcia twojej magicznej różdżki, pragnę ich!
Chcę ich mnóstwo!

Moja magiczna różdżka? Nie działa. Zepsuta. A ona mi mówi o swojej podnieconej cipuni, o małym rozpustnym króliczku. To komiczne. Mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Przez chwilę.

Przypisuje winę mojej magicznej różdżce, pucuje ją wściekle, jakby chciała, żeby błyszczała. I dostaję porządny ochrzan:

- Ależ jak to, mój króliczku, zrób coś, rusz się, dotykaj mnie, macaj mnie...

- Nie mam za bardzo ochoty...

- Nic dziwnego, jesteś nieruchawy jak prawiczek! Apetyt przychodzi w miarę jedzenia!

Przykłada moją dłoń do swojej piersi, porusza nią energicznie, pyta, czy jej piersi są brzydkie.

Ma bardzo ładne piersi, wie o tym dobrze, ale to niczego nie zmienia. Przeklinam siebie za to, że mam dwie ręce. Wystarczy już, że jedna...

- Bierz mnie, Benjamin, bierz mnie jak dzikus, to moja fantazja. Chodź, mój brutalu, przeleć mnie!

- Nie.

- Co?

- Nie.

Prostuje się. Zapala światło. Odrzuca prześcieradło, eksponując swoje nagie ciało.

Rozkoszuję się przedwczesnym uwolnieniem obu rąk. Natychmiast zaczepiają się jedna o drugą, żeby pocieszyć się nawzajem.

- Nie wzbudzam pożądania?

- Ależ tak...

- I nie masz ochoty?

- Nie.

- Czy wiesz, że niejeden facet chciałby być na twoim miejscu?
- Nie wątpię.
- Wzbudzam w tobie odrazę?
- Nie.

- Rozumiem, chcesz mnie ukarać za tę historię z pizzą. To jest szantaż, jeśli nie zgadzam się na wszystko, czego ty chcesz, mścisz się na mnie w łóżku. To małostkowe, Benjamin. To przypomina postawę Auréliena.

Już dawno o nim nie wspominaliśmy...

- Aurélien nie chciał się już kochać?

- Nie, to Odile miała tego dosyć. On robił to machinalnie, bez fantazji, nie dokładając żadnych starań. Miała wrażenie, że jest workiem na spermę. Pieprzył się jak królik.

- A? To kobiety zwierają się sobie z takich rzeczy? A ty? Co ty mówisz? Jak opowiadasz „Benjamina w łóżku”?

- Ja nie jestem taka, jestem pruderyjna, nie opowiadam nic albo mówię, że liczysz się z moimi fantazjami, że bierzesz pod uwagę moją przyjemność. No przynajmniej... do tej pory. Zmieniłeś się w ostatnim czasie, teraz masz gdzieś to, co czuję... Przyjemność mężczyzny nie jest ważniejsza od przyjemności kobiety! Aurélien tego nie zrozumiał! Myślał tylko o sobie, to nie mogło dłużej trwać. Kiedy w związku umiera seks, związek umiera razem z nim. Auréliena i Odile już nic nie łączyło.

- To on kierował?

- Co? Odile nigdy nie zrobiła prawa jazdy. Ale nie widzę związku.

- A w łóżku? Które z nich kierowało?

- W łóżku...? Wiem, do czego zmierzasz: ja wyrażam swoje fantazje, a ty wtedy czujesz się wykpiony! Kobieta powinna pozostać na swoim miejscu, rozchylić nogi, kiedy jaśnie pan sobie tego życzy,

pozwolić, żeby zrobił swoje, jak mu się podoba, i uważać się za szczęśliwą? Te czasy się skończyły! Minęły! Wyrażam swoje pragnienia i tyle. Czy ci się to podoba, czy nie...

Napięcie. Czekam. A jeśli mi się to nie podoba, to powinienem założyć ruch obrony męskości?

- Jak ci się nie podoba... to trudno.

To wszystko? Jestem prawie rozczarowany.

Nie na długo.

- Benjamin, gdybyśmy się rozstali, zламаłbyś mi serce. Byłbyś zmuszony żyć z dala od Marion, to byłoby dla ciebie straszne, myślę...

Cisza. Słucham tych słów: rozłąka, Marion, daleko, straszne...

- Rozumiesz dobrze, Benjamin, że gdybyś mnie zostawił, nie mogłabym tutaj zostać. Byłabym zmuszona wyjechać tam...

Mam dreszcze. Ogarnia mnie trwoga.

- Tam?

- Tak, pojechałabym do swojej rodziny, byłoby mi tam lepiej.

Czy dobrze zrozumiałem? Nie, tylko nie to...

- Tam? Na Gwadelupę?

- A gdzie chciałbyś, żebym pojechała? Większa część mojej rodziny tam mieszka. Nie wyżyłabym z dochodu z książek, musiałabym znaleźć jakąś pracę etatową, moja mama pilnowałaby Marion, miałabym wsparcie rodziny.

- Ty... Ty chyba żartujesz?

- Wcale nie. To byłoby jedyne rozwiązanie.

- A twoje książki? Nie mogłabyś mieszkać tak daleko...

- Ależ Benjamin! Bądź trochę na bieżąco, wynaleziono przecież Internet. Jedna podróż w roku by wystarczyła. Gdyby wypadało to w czasie wakacji szkolnych, mogłabym przyjechać z Marion i miałbyś ją przez dwa tygodnie...

Dwa tygodnie? Robi mi się zimno. Jestem przemarznięty do szpiku kości.

- Béatrice, ty chyba żartujesz? Opieka naprzemienna tak nie wygląda...

- To ty żartujesz! Gdybyś mnie opuścił, nie miałbyś prawa do opieki naprzemiennej! Jako że moja rodzina mieszka w posiadłości zamorskiej, a Marion jest mała, powierzono by mi opiekę nad nią bez problemu, miałbyś prawo widzieć ją przez miesiąc podczas wakacji letnich, tak to wygląda... Nic na to nie poradzę. Gdybyś mnie opuścił, musiałbyś ponieść konsekwencje, nie sądzisz?

Już nic nie sądzę. Jestem przybity. I głos, który wydobywa się ze mnie, wydaje mi się nagle jakiś dziwny, obcy... Nie rozpoznaję go.

- Jesteś pewna... Jesteś pewna tego, co mówisz, Beatrice?

- Tak. Odiła ma przyjaciółkę, która jest adwokatem. Kiedy zacząłeś... oddalać się ode mnie, zasięgnęłam u niej informacji.

- Chciałem spytać, czy jesteś pewna, że chcesz zbliżyć się do swojej rodziny?

- Tak, jeśli mnie opuścisz i będę sama z Marion... będę potrzebowała otuchy u boku rodziny, wsparcia mojej mamy.

Wsparcia mamy? Gdy tylko ma wolne pięć minut, wykorzystuje je na obgadywanie swojej mamy. Mówi, że zniszczyła jej życie, że nigdy jej nie rozumiała... i miałyby z nią zamieszkać? Razem z Marion...

- Teraz nagle kochasz swoją matkę?

Podnosi oczy ku niebu i wzrusza ramionami. Zazwyczaj zaczyna od ramion... To znaczy, że jest zmieszana.

- Moja matka stanęłaby u mojego boku, żeby mnie wesprzeć. To od kiedy jestem z tobą, mam z nią zły kontakt.

A to dopiero nowina!

- Benjamin, wolałam ci tego nie mówić, ale moja matka uważa, że brakuje ci charakteru, że jesteś zbyt powolny, niewystarczająco dojrzały, żeby wychować dziecko. Przy tobie Marion byłaby źle wychowana - nie potrafisz jej niczego odmówić.

- Ach. Ty też tak uważasz?

- Przykro mi, Benjamin, nie lubię ci się przeciwstawiać, ale taka jest prawda: przy tobie Marion byłaby rozpieszczona jak dziadowski bicz. Nie potrafisz powiedzieć nie.

Dobrze... A więc ona też zgadza się z grubym wieprzkiem.

- Powinieneś się nad sobą zastanowić, Benjamin. Dzisiejsze kobiety nie zamierzają znosić tego, co znosiły ich matki. Możesz zapomnieć o uległości! Mam prawo mieć swoje zdanie i je wypowiedzieć. I być wysłuchana. Czasem, widzisz... To tak, jakbym w ogóle nie istniała... Doprowadza mnie to do rozpacz. Mówię w próżnię. W ogóle nie bierzesz pod uwagę tego, co mówię.

- Na przykład kiedy mówisz o kupieniu apteki?

- Laboratorium farmaceutycznego? Proszę cię! Nie masz przecież dyplomu sklepiarza. Kiedy mówię o kupieniu apteki... albo kiedy mówię ci, co lubię w łóżku, ty... Ciebie to nie interesuje. Gdybym ci zawsze przytakiwała, może byś mnie słuchał...

Przykleja się do mnie nieoczekiwanie.

- Benjamin, zależy mi na tobie, chcę, żebyśmy zostali razem... Nie chcę rozdzielać cię z Marion. Gdy tylko o tym pomyślę, serce mi się kraje. Odile mówi, że Aurélien jest nie do poznania, tak bardzo brakuje mu dzieci...

Aurélien? Ten, który pieprzy się jak królik? A przede wszystkim to on ma prawo do co drugiego weekendu. Szczęściarz z tego Auréliena. Niech się nie żali.

- Gdybyś mnie opuścił, byłabym bardzo nieszczęśliwa. Czułabym się opuszczona.

Opuuszczona? Kto tu kogo opuszcza? Jestem zupełnie zagubiony.

- Poradzimy sobie, jeśli wykazesz trochę dobrej woli, Benjamin... Kochamy się, to najważniejsze.

To jest miłość?

Wymarzyłem ją sobie inaczej. Piękniejszą, bardziej czułą, łagodniejszą...

Gasi światło.

Jej język w moich ustach. Kompleksowe badanie moich ust. I jej ręce, jej oddech...

- Chodź, Benjamin, kochaj się ze mną, żebym ci wybaczyła...

- Co masz mi wybaczyć?

- To, że przez ciebie płakałam... Chodź, bądź brutalny, uwielbiam to.

Ja nie. Żadnej brutalności, żadnej walki, żadnej wojny, żadnego zwycięży. Nie mogę. Robi mi się niedobrze. Mam mdłości, czuję niesmak.

- No, chodź, spraw, żebym ci wybaczyła, mój mały króliczku...

Króliczek... Jak to jest pieprzyć się jak królik? Może to jest fajne, przyjemne, pokojowe...

- Nie mogę, Béatrice. Źle się czuję, jest mi niedobrze.

- Obiad z tym grubym wieprzkiem leży ci na żołądku?

Z pewnością. Nie widzę niczego innego...

- Spróbuj sprawić mi przyjemność. Czy to nie jest miłe, sprawić mi przyjemność? Chodź, Ben, połóż się na mnie, pieprz mnie...

- Nie. Jest mi zbyt niedobrze.

- To weź jakieś lekarstwo! Jak to! Benjamin! W końcu jesteś farmaceutą!

Wstaję w pośpiechu.

Wchodzę do łazienki w samą porę.

Opróżniam żołądek, opróżniam serce. I pociągam za spłuczkę.

Myję twarz, jeszcze i jeszcze. Zamykam drzwi na klucz i siedzę tam, w łazience, na podłodze, z głową między rękami. Siedzę tak długo.

Z głową między rękami.

I w końcu... W końcu mi się udaje.

W końcu płaczę.

Cichutko. Drobniutki deszcz. Chłopiec nie płacze głośno, nigdy się tego nie nauczył.

Płaczę delikatnie.

Płaczę.

Z głową między rękami.

10. Filozofia afrodyzjakalna

Wracam do domu z małą torbą w ręce. Z moją małą torbą... moim małym sekretem. Ale mi sekret! Wyobrażam sobie, że przeżywam coś interesującego...

Béatrice poprosiła mnie dzisiaj rano, żebym wstąpił do księgarni i sprawdził, czy mają jeszcze na półkach *O siusiu i kupie*. Jeszcze mieli. Poczułem się dziwnie, znajdując w miejscu publicznym ten leżący na nocnym stoliku Marion znajomy przedmiot, w którego narodzinach uczestniczyłem.

Księgarz myślał, że jestem zainteresowany. Czuję się skrępowany. Powiedziałem: „Nie, nie, tylko oglądam...”. Sądził, że się waham, więc dodał: „Wie pan, ta książka podoba się bardziej rodzicom niż dzieciom”. Skinąłem głową z powagą i odłożyłem *O siusiu i kupie* na półkę.

Oddaliłem się, rozglądając się, jakbym poszukiwał jakiejś książki, po czym dyskretnie wyszedłem. Nie czuję się swobodnie, kiedy Béatrice powierza mi tego rodzaju misje, nie domyślając się, ile wysiłku mnie to kosztuje. Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby jej odmówić, pomyślałem o tym dopiero teraz! Przytaknąłem odruchowo, automatycznie. Teraz miałem to sobie za złe: powinienem był

powiedzieć nie. Nie, idź sobie sama albo poproś kogoś innego. Na przykład tę poczciwą Odile...

W aptece trening przebiega dobrze: uczę się mówić nie. Rozważam racjonalnie każdą prośbę i jeśli jest przesadzona, grzecznie odmawiam. Na początku zaskoczyłem tym niejednego, ale stopniowo się przyzwyczajają; coraz rzadziej biorą mnie za frajera. Jestem zdziwiony, że prosta recepta Aimé'go okazała się tak skuteczna. Spróbowałem dla zabawy. Żeby zobaczyć. I zobaczyłem...

Natomiast w domu...

W domu, kiedy sięję nie, zbieram łzy i krzyki.

Powiedziałem zatem Béatrice „tak”, bez zbędnych rozważań. I teraz, w księgarni, zdałem sobie sprawę, że zgadzając się bez dyskusji, uniknąłem ataku i gróźb, ciągle tych samych...

Jestem tutaj, myślę o tym wszystkim i niby przyglądam się książkom. Ale księgarz chce mi pomóc:

- Szuka pan czegoś?

Zostaję wzięty z zaskoczenia. Daję się wciągnąć w swoje sprzeczności... Krótko mówiąc, daję się wciągnąć.

- Plutarcha.

Musiałem przecież coś powiedzieć, nie?

Księgarz się krząta, przyklęka, szuka na najniższej półce. Jeśli znajdę tutaj Plutarcha, to zobaczę w tym rodzaj symbolu, ale nie wiem czego. I nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Jest jedna książka.

Księgarz się podnosi, podaje mi książkę. Jest mała, elegancka, ale jej tytuł brzmi srogo: *O cnocie i wadzie*.

- Bierze ją pan?

- Tak!

Słyszę siebie mówiącego tak w jakiś dziwny sposób, ochoczo, wesolo. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Myślę o Béatrice i robi mi

się jej żal: moje codzienne tak to zrezygnowane, powstrzymywane westchnienia, fatalistyczne wyrażenia zgody... Nigdy nie mówię tak wesoło.

Oto zatem wracam do domu z moją małą torbą, niczym mały chłopiec, który zatrzymał się za długo w sklepie z cukierkami - jest coś z dywersji w tym zakupie. Od razu kładę swój skarb na przypadającej mi części łóżka, przeznaczając go na dzisiejszy wieczór.

- Jesteś tam? Mógłbyś przynajmniej powiedzieć mi dobry wieczór!

Idę, składam pocałunek na czole żony. I chwytam po drodze moją małą łobuzicę, która wypatruje mnie kątem oka. Podnoszę ją do góry, aż do sufitu, „Marion, marionetka, tak robią małe marionetki...” - podśpiewuję.

Śpiewam źle, ale jej mimo wszystko się podoba, daję córce głośnego buziaka, po czym stawiam ją delikatnie na podłodze.

- Benjamin... Ledwie na mnie spojrzysz, kiedy wracasz. Tylko Marion się dla ciebie liczy. Przecież ja też istnieję!

- Ty też chcesz dotknąć sufitu?

Palnąłem głupotę. Nie powinienem był tak odpowiadać.

- Sufitu? Wolałabym nieba, jeśli już chcesz wiedzieć. Najchętniej siódmego. Umawiamy się na wieczór?

Spoglądam na bukiet leżący na kredensie. Ładne kwiaty, piękne kolory...

- A może znowu coś ci dolega? Co cię tym razem boli? Głowa czy żołądek?

Naprawdę bardzo piękny bukiet. Kwiaciarzowi należą się komplementy. Nie mogę się na niego napatrzeć. Nagle czuję się bliski naturze. Mam ochotę pójść do lasu, zbierać polne kwiatki, słuchać ptaków...

- Jeśli coś cię boli, to lepiej powiedz od razu. No więc? Co cię boli?

Podobają mi się liście otaczające bukiet, są świeże, wiosenne...

- Benjamin, mówię do ciebie!

- Tak... Podziwiałem kwiaty, to jest... To piękny bukiet...

- Posłuchaj, nie uwierzysz, ale to Martin mi go przysłał...

Wierzę jej na słowo.

- Stwierdził, że bardzo miło go przyjął...

W to też wierzę.

- Chciał mi podziękować. Myślę, że jest bardzo zadowolony, że pracuje ze mną...

Nadal jej wierzę.

- Widzisz, ten bukiet jest oznaką grzeczności, kurtuazji. Jest bardzo dobrze wychowany...

Już jej nie wierzę.

- Benjamin, kiedy pójde po Marion, jeśli w miarę dobrze się czujesz...

- Marion? Ale przecież ona tu jest! Poszła do swojego pokoju.

- Ach, tak! Nie wiem już, gdzie mam głowę z tego wszystkiego...

- Z tego wszystkiego? Kwiatów? Rysownika?

- Oczywiście, że jest w domu; rzucasz się na nią i całujesz, przytulasz ją, a ja jestem tylko meblem! Ja też potrzebuję uwagi... Troszczysz się tylko o Marion.

Chociaż to bukiet od rysownika, źle ogolonego i niedorobionego, mimo wszystko to ładne kwiaty...

- Ależ odpowiedz mi! Marion byś odpowiedział, jestem pewna!

- Béatrice... Nie powinnaś być zazdrosna o Marion, to jest...
- Ależ skąd! Nie jestem zazdrosna o Marion. Ty wszystko upraszczasz! Jestem szczęśliwa, że lubisz się nią zajmować, ale ja również potrzebuję twojej uwagi. Jako że nie chcesz tego przyjąć do wiadomości, twierdzisz, że jestem zazdrosna. To pójdźcie na łatwiznę! Przecież nie będę zazdrosna o dziecko, Benjamin!
- Dobrze. No więc opowiedz mi, jak spędziłaś dzień...
- To nie jest uwaga. Chodzi o to, żebyś podszedł do mnie, kiedy wracasz, pocałował mnie, troszczył się o mnie... I odpowiadał, kiedy do ciebie mówię! I patrzył na mnie! Ty od dłuższej chwili patrzysz na kwiaty!
- Tak... Są piękne.
- Już to mówiłeś. A ja? Czy ja nie jestem piękna?
- Nie, nie... Jesteś piękna. Jesteś bardzo piękna...

Potem...

Nie wiem, jak z tego wybrnąłem. Zostałem uratowany w ostatniej chwili: przyszła pora obiadu.

Potem kolacji. Od tamtego wieczoru nie rozmawiamy już o pizzy. Panu od pizzy będzie mnie brakowało... wyprowadzającym psy na spacer, przyzwyczajonym do spotykania mnie - też. Chińczyk z rogu ulicy przejął pałeczkę: dostarcza zamówienia w ciągu kwadransa. Marion bardzo lubi nemy i ryż po kantońsku. Do czasu.

Potem wieczorna bajka, gadatliwy sufit, złączone niczym kajdankami rączki Marion, układające się do snu, na których spoczywa jej mała główka, dobranoc, skarbie, do jutra...

Pora na nas...

My dwaj. Plutarch i ja.

- Benjamin, mówiłam ci setki razy, że czytanie w łóżku jest niezdrowe. Chodź do mnie, poczytamy razem.

- Wolę czytać w łóżku.

- Co czytasz?

Bierze książkę, ogląda okładkę i uśmiecha się wyrozumiale.

- Benjamin...? Chcesz się zgrywać na intelektualistę?

- Nie, chcę ją przeczytać.

- Nigdy nie czytałeś filozofów, co cię napadło?

- Nigdy nie jest na nic za późno.

- Dlaczego kupiłeś tę książkę?

- Miałem ochotę. Aha, *O siusiu i kupie* nadal mają.

- Naprawdę? Byłam pewna, że o tym zapomniałeś! Nawet nie śmiałam ci przypomnieć w obawie, że znowu pošlesz mnie do diabła, jak wtedy z tą pizzą. Już to widziałam: idź sobie sama! Tamtego wieczoru tak mocno mną wstrząsnęło twoje zachowanie. Odtąd jestem... zdezorientowana. Czuję się osłabiona. To dlatego, że potrzebuję twojej uwagi. A więc mają ją jeszcze... Ile egzemplarzy?

- Nie patrzyłem. Nie pomyślałem o tym.

Był tylko jeden, wiem, ale nie powiem jej. Nie wiem, do czego by mnie to doprowadziło.

- Nie pamiętasz?

- Nie, nie mówiłaś, że mam je policzyć.

- Tobie naprawdę wszystko trzeba mówić...

Odbieram książkę, zanim mi ją skonfiskuje.

Można by powiedzieć, że się wycofuje, że zostawienie mnie samego kosztuje ją dużo wysiłku. W progę rzuca:

- Miłego filozofowania... Jak by nie było, filozofia może wyjść tylko na dobre komuś takiemu jak ty.

Komuś takiemu jak ja?

Uśmiecha się do mnie smutno, rozczulająco, niczym opuszczona dziewczynka, po czym zamyka za sobą drzwi.

Rozczulająco... Nie chcę się rozczulać. Zbyt wiele mnie to kosztuje.

Plutarch i ja. Wreszcie sami.

Czytam...

Wstaję, chwytam ołówek, bloczek karteczek samoprzylepnych i kładę się na nowo.

Nigdy nie pisałem po książce. To premiera.

Czytam.

Podkreślam, przyklejam karteczkę.

Czytam.

Już nie czytam. Zamykam oczy, zastanawiam się. Czy tam ponownie jeden fragment, potem inny. I jeszcze raz.

Czytam.

I tak dalej...

Nagle:

- A! Tym razem nie śpisz! A więc odrobina filozofii dobrze na ciebie podziałała? Jesteś gotów na mniej duchowe przyjemności?

Zapomniałem o Béatrice... A przecież myślałem o niej cały wieczór, czytając kolejne strony.

- No, mój króliczku? Jesteś gotów na nowe przygody?

- Tak, właśnie.

- Plutarch cię obudził?

- Tak, wydaje mi się, że tak, obudził mnie... mam taką nadzieję.

- Masz taką nadzieję? Będiesz zatem mniej... mniej ślamazarny niż poprzednim razem?

- Mam taką nadzieję.

- Bardziej zdeterminowany?

- Tak myślę.
- I to właśnie Plutarchowi to zawdzięczamy? Ależ ten facet jest wspaniały.

- Tak, udziela doskonałych rad.
- Powinieneś wcześniej zabrać się za filozofowanie, mój króliczku.

- Takie jest również moje zdanie.
- Dobrze, szybko, pokaż mi to. Od słów przejdźmy do czynów! Piękne słowa niczemu nie służą, jeśli nie są poparte akcją.

- Całkowicie się z tym zgadzam.
- No to chodź, mój króliczku, sprawdzimy afrodyzjakalne działanie filozofii.

W tym momencie ogarniają mnie wątpliwości. Ona gasi światło. Liczę do trzech i wyjaśniam nieporozumienie.

- Plutarch mnie obudził, to prawda, i czuję się mniej niemrawy, ale być może nie w sensie, w jakim ty to rozumiesz. Jestem zdeterminowany, żeby...

- Kochać się jak szalony!
- Nie, żeby czytać dalej.
- Tak, to bardzo dobrze. Skończysz tę swoją książkę, przynajmniej nie kupiłeś jej na darmo.

- Nie, chcę czytać dalej teraz. Jestem pogrążony w refleksji, chcę czytać dalej, nie chcę stracić wątku.

- Co? Chcesz teraz czytać?
- Tak, ale nie denerwuj się, możesz sobie spokojnie spać, nie będę ci przeszkadzał, pójdę do dużego pokoju.

- Robisz mnie w konia?
- Nie.
- Dobrze, przestań już. Twój żart jest bardzo zabawny, dobrze się uśmiałam, brawo, przyklaskuję.

- To nie jest żart. Dobranoc...

Wstaję i z książką w ręku idę do drzwi.

- Benjamin, wracaj!
- Idę czytać, mówiłem ci. Śpij dobrze.
- Benjamin, kpisz sobie ze mnie czy co? Chcesz mnie poniżyć?
- Nie, chcę czytać, to wszystko.
- A ja? Czy ja nie istnieję?
- Ty możesz spać, jeśli chce ci się spać, albo również czytać. Rób to, na co masz ochotę.

- Mam ochotę na ciebie w swoim łóżku, oto na co mam ochotę!
No, chodź, połóż się...

- Nie, mam ochotę czytać.
- Benjamin, n i e m o ż e s z mi tego zrobić...

Pierwszy szloch.

- Przecież nie sprawiam ci bólu, czytając.

Drugi szloch.

- Nie udawaj niewiniątka, Benjamin, ranisz mnie, ranisz mnie bardzo, wiesz o tym dobrze...

Trzeci szloch.

Jak ja teraz wyglądam, stojąc w progu? Mam iść czytać czy liczyć jej szlochy?

- Nie chcę cię zranić... chcę tylko poczytać. Dobranoc.
- Benjamiiiiiiiiin...

Dwadzieścia szlochów za jednym zamachem. Potop. Wodospad Niagara.

- Béatrice, nie czytam po to, żeby zrobić ci na złość. Przykro mi, że to cię doprowadza do takiego stanu.

- To wróć!
- Nie.
- Jesteś takim egoistą... Nawet nie pomyślisz o Marion.
- Marion jest w swoim łóżku.
- A życie o tysiące kilometrów od niej? Masz to gdzieś?

- Na razie jest tutaj. Dobranoc, Béatrice.

Zamykam drzwi. Idę do dużego pokoju.

Słyszę narastające szlochy, słyszę desperackie wołania, ten głos, który, kiedy ona płacze zbyt długo, staje się kruchy jak kryształ...

A gdyby tak się stłukł jak kryształ? Gdybym rozbił go tą myślą, która mnie napadła, tą szaloną myślą, która nakazuje mi odwołać się do rozumu?

Przeklęty rozum! Ta próba, gdzieś w głębi, nie przyznawania racji swojemu rozumowi. Ale mam w ręce książkę. Ściskam ją. Jakbym znalazł amulet. Ściskam ją i zajmuję miejsce na kanapie.

Trudna lektura, winna lektura. Słyszę płacz za ścianą. Kolejny raz czytam zdania, przerywają mi szlochy. Widzę twarz Béatrice zalaną łzami, rysuje się między wierszami. I czytam dalej. Zabrnąłem za daleko, żeby zawrócić z drogi.

Potem...

Płacz ucichł.

Jestem sam, noc.

Do końca książki.

Do końca nocy.

11. Uparta poduszka

Kręcę się w kółko; chodzę z pokoju do pokoju i wszystko wydaje mi się puste.

Moje spojrzenie - otępiałe, zbite z tropu - zatrzymuje się przypadkowo na zabawce Marion, i mam łzy w oczach. Na ubraniu Béatrice - i jestem przybity, przygnębiony.

Kuchnia naigrawa się ze mnie, mówi, że mogę jeść, na co mam ochotę, strajkować przeciwko pizzy, obejść się bez posiłku, że to wszystko jedno, bo ja w tej kuchni w ogóle nie istnieję.

Pokój Marion oskarża mnie, smutny, zmieniony: widzisz, do czego to doprowadziło?

Siadam na łóżku, biorę poduszkę w ramiona, wdycham jej zapach... Podniesienie się przychodzi mi z ogromnym trudem, nie mogę już patrzeć na porzuconą pluszową zabawkę, która ukazuje mi się w zbliżeniu. Gdzie jest Marion? - pyta duży biały pies. Z trudem zamykam za sobą drzwi.

Gdzie jest Marion? Jest daleko... Jak daleko, tato? Czy to dużo daleko? Głos mojej córeczki w mojej głowie... Tak, to dużo daleko... Bardzo dużo daleko.

Drugi pokój, pokój naszego baraszkowania, naszych walk, wskazuje na mnie palcem: Możesz być z siebie dumny! I co ci to dało? Masz za swoje, jesteś sam jak pokutująca dusza, sam się o to prosiłeś!

Poduszka Béatrice zdaje się smutna, porzucona, a jej wymówki gorzkie: To wszystko dla jakiejś książki, książki faceta nieżyjącego od tysięcy lat, faceta, który nawet nie wystąpił w telewizji, a ty wyobraziłeś sobie, że jego słowa są nadal aktualne. Czy to było warte cierpienia, do jakiego się przyczyniłeś?

Przypominam sobie szloch, te wdzięczne szloch Beatrice (płacz z wielkim wdziękiem, z wielką klasą...). Przypominam sobie, jak uparcie mówiłem nie, nie, nie ustąpię. Ten uporczywy upór.

Przypominam sobie, jak kładąc się spać nad ranem, słyszałem jej oddech obok siebie, spokojny oddech pogrążony w głębokim śnie.

Przypominam sobie ten zadziwiający spokój w sobie, w głębi, to ukojenie całej mojej istoty; to uczucie spokoju, które mnie przepęniało, wypełniało pustkę. Przeważałem być niczym, pustką, brakiem. Stawałem się kimś. Musiałem nauczyć się poznawać siebie... Przede mną był jeszcze cały program, ale z góry radowałem się na tę myśl. Wie działałem, że to początek ekscytującej przygody. Sen Beatrice pocieszał mnie: miałem rację, mówiąc nie i obstając przy tym. To było okrutne, bo nie była do tego przyzwyczajona, ale doszła do siebie. Otrząśnie się, jak zawsze. Za snąłem pogodzony ze sobą, nieskończenie pogodzony.

Przypominam sobie, że rano wstałem pogodny. Spałem niewiele, ale za to jak dobrze... Jakość snu kompensowała jego skromną ilość.

Przypominam sobie, że przygotowałem Marion do przedszkola, podśpiewując wesoło. Pamiętam, że bawiłem się z nią chrupkami śniadaniowymi, przeprowadziłem w kubku bitwą morską między dobrymi a złymi cornflakesami. Dobre wygrały, ale wszystkie zakończyły karierę w żołądku mojej córki, która tymczasem zapomniała, że niczego nie chciała przełknąć.

Pamiętam, że gdy wychodziliśmy z domu, usłyszałem głos Béatrice: „Benjamin, przyjdź do mnie, proszę”. Jej głos był jak zawsze donośny i biła z niego pewność siebie, ale to „proszę” zaniepokoiło mnie. To było jak złe przeczucie.

Wyszeptalem Marion do ucha: „Poczekaj na mnie tu taj, myszko, pójdę na chwilę do mamy” i wszedłem do pokoju.

- Tak?

- Benjamin, to, co zrobiłeś wczoraj wieczorem, to coś bardzo poważnego. Poniesiesz tego konsekwencje.

- Tak?

- Nie pozwolę ci tak ze sobą igrać.

- Tak?

- Przestań mówić bez przerwy tak! To nie do wytrzymania.

No to powinna wiedzieć, czego chce...

- Benjamin, muszę to wszystko przemyśleć...

- Posłuchaj... Pora iść do przedszkola, czy nie możemy o tym porozmawiać później?

- Bardzo dobrze. Oznajmię ci swoją decyzję dzisiaj wieczorem. I nie wymigasz się od tego. Potwierdzisz, że przyjąłeś ją do wiadomości, czy ci się to podoba, czy nie.

- Wyślesz mi list polecony?

Wzruszyła ramionami, a ja wyszedłem.

Pamiętam, jak ścisnąłem rękę Marion w drodze do przedszkola, słuchałem jej wątłego głosiku, przekroczyłem próg, zdjąłem jej kurtkę,

odprawiłem rytuał pożegnania; pamiętam, że zrobiłem to wszystko z niesłychaną intensywnością. Miałem przepelnione serce.

Przytuliłem ją, nic już nie mówiąc.

Brakowało mi słów; zbyt dużo byłoby ich trzeba. Jak powiedzieć, jak bardzo ją kocham...

Odwróciłem się, pomachała mi ręką, a kiedy się do mnie uśmiechnęła, poczułem, jak na moich ustach rysuje się ten sam uśmiech.

Pamiętam ten dziwny dzień. Aimé pogratulował mi postępów: „Umiesz powiedzieć nie spokojnie, nie urażając nikogo. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale masz o wiele lepsze relacje...”.

Lepsze relacje? Było się z czego uśmieć. Było z czego umrzeć ze śmiechu. Ale on nie mógł tego odgadnąć. Nie powiedziałem zatem nic, bo po co? Kto mógłby mnie zrozumieć? O tych rzeczach się nie mówi...

Myślam byłem gdzie indziej; myślałem o decyzji, którą miałem przyjąć do wiadomości.

Przed południem zadzwoniłem do Béatrice, ale nie odbierała. W porze obiadu też jej nie było. Po południu podobnie. Wyobrażałem sobie, że stoi przy telefonie, upierając się, że nie odbierze. A może wyszła?

Dzień się ciągnął, wydawał się straszliwie długi; każda godzina zdawała się trwać dłużej od poprzedniej. Nieskończone odliczanie czasu.

I ten strach, przesywający niczym ból, że nie zastanę Marion w domu po powrocie.

Była.

Była, wesoła i promienna:

- Wyjeżdżamy, tato!

- Ach? A gdzie?
- Do babci!

Nie pytam, o którą babcie chodzi, zrozumiałem.

- Nie jesteś zaproszony, Benjamin.

Béatrice wychodzi z łazienki z torbą podróżną w ręce i z werdyktem na ustach:

- Do twojej wiadomości podaję, że udało mi się dostać dwa bilety lotnicze na jutro.

- Na jutro?

- Tak, Odile ma przyjaciółkę, która prowadzi biuro podróży i znalazła mi miejsca.

Nienawidzę Odile. Ta kobieta ma zbyt wielu przyjaciół.

- Benjamin, posłuchaj mnie przynajmniej raz: wyjeżdżamy na miesiąc, rozłąka dobrze nam zrobi.

To była ta decyzja.

Potwierdzam, przyjąłem do wiadomości. Potwierdzam z bólem.

A co z przedszkolem? Przedszkole nie stanowi problemu, Béatrice koleguje się z wychowawczynią, która jest bardzo dumna z tego, że ma wśród rodziców podopiecznych autorkę książek dla dzieci - autorkę, która przychodzi czytać dzieciom bajki i do której można mieć „całkowite zaufanie”, że utrzyma kontakt z przedszkolem podczas nieobecności.

- Zabieramy zadania, tato!

Zadania? Już?

Pamiętam tę dziwną kolację.

Béatrice rozmawia z Marion, jakbym nie istniał. Opowiada jej, co będą robić, dokąd pójda. I jak będzie wspaniale.

Kiedy Marion pojechała na Gwadelupę pierwszy raz, była za mała, żeby cokolwiek pamiętać. Zazwyczaj to moi teściowie przyjeżdżają do

metropolii kilka razy w roku. Zachowali małe mieszkanie, nie musimy zatem gościć ich u siebie długimi tygodniami... Pamiętam: „Benjamin, nie potrafiłabym mieszkać z moją matką pod jednym dachem, tylko jej nie proponuj, żeby u nas została!”. Jak ona teraz to zniesie?

Béatrice tłumaczy, wyszczególnia, wpada w zachwyt... Można by powiedzieć, że opowiada jakąś piękną historię.

Unika mnie, ucieka przed moim wzrokiem. Jakby mnie nie było. Ale to do mnie mówi to wszystko. „Zobaczysz, jak nam tam będzie dobrze, nie będziesz miała ochoty wracać!”. Potwierdzam, przyjąłem do wiadomości. Potwierdzam z goryczą.

Mała jest zaintrygowana, zadaje pytania i oczy jej błyszczą. Pod koniec kolacji już wiadomo, że misja się powiodła - Marion jest uradowana.

Siedząc na krawędzi łóżka, mówi:

- Smutnie, że nie chcesz z nami jechać, tato.

Mówię, że nie mogę z nimi jechać, że nie mam wakacji i że inaczej oczywiście bym pojechał.

Pamiętam, że patrzyłem, jak Marion składa ręce na po duszce, przykłada do nich główkę. Mówiłem sobie, że ten gest będę widział zawsze, zachowam go na zawsze, nie będzie mi go można odebrać.

Pamiętam wyjaśnienia.

- Benjamin, podjęłam tę decyzję, żebyś zastanowił się nad sytuacją. Zaznasz samotności, to posłuży ci za nauczkę - zdasz sobie sprawę z zalet życia rodzinnego. Po moim powrocie być może zmienisz stosunek do mnie.

A ponieważ milczałem, zgubiła pouczający ton. Lekcja dobiegła końca.

- Powiedz, co o tym myślisz! Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Pamiętam, że w tamtej chwili coś się ze mną stało, coś, co było niczym objawienie. To nie ja tak naprawdę mówiłem - albo był to ten nowy ja, do którego jeszcze się nie przyzwyczaiłem. I który mnie zaskoczył.

- Co o tym myślę? Myślę, że to szantaż. Czy rozumiem? Tak, rozumiem, że się mścisz.

- Benjamin! To małosłowne! Rozczarowujesz mnie! Usiłuję tylko znaleźć jakieś rozwiązanie, żebyśmy mogli się odnaleźć... jak dawniej. Żeby było nam razem dobrze...

Jej głos złagodniał, objęła mnie za szyję, pogłaskała po policzku i wyszeptła niczym sekret, niczym miłosne za klęcia:

- Benjamin, chcę, żebyśmy się kochali. Chcę, żebyśmy byli prawdziwą parą.

To było silniejsze ode mnie. Popatrzyłem na nią i słowa przyszły same:

- Nie chcesz, żebyśmy byli parą; chcesz być moją przełożoną.

Myślałem, że zemdleje. Zbladła, rozejrzała się, jakby się zagubiła, jakby nie pamiętała, gdzie jest. W końcu doszła do siebie.

- Proszę jaśniej, Benjamin! Wytłumacz się!

Wszystko już powiedziałem i byłem wyczerpany.

Poszedłem się położyć.

Pamiętam, że słyszałem, jak płakała, i że nie miałem ochoty jej pocieszyć.

Odjechały następnego dnia. Ledwie zdążyłem pożegnać się z Marion.

Pamiętam...

Pamiętam to wszystko i opowiadam poduszce Béatrice. Ale ona pozostaje niewzruszona. Jej wymówki są wciąż ta kie same: Widzisz,

co zrobiłeś! Jak można dopuścić, żeby taka piękna kobieta płakała! Jak ci nie wstyd! Ona jest wrażliwa, jest wrażliwa...

Dobrze rozumiem, że poduszka stoi po stronie Beatrice, przecież to jej poduszka. Ale mimo wszystko posłuchaj mnie, też mam swoje powody: zabrała Marion, jest dla mnie surowa, a to, że nie wybucham przy każdej sposobności płaczem, nie znaczy, że jestem pozbawiony uczuć, zgodzisz się z tym?

Ta głupia poduszka jest uparta jak osioł: to ja jestem złośliwy, Béatrice jest ofiarą, ona nie ustąpi.

Nagle, gdy odwracam się w stronę swojej poduszki, jedynej, która może mnie pocieszyć i którą biorę za świadka, zdaję sobie sprawę, że mówię na głos. Że mówię do siebie.

Mówię sam do siebie jak stary kawaler. Przyprawia mnie to o dreszcze, milknę.

To niczego nie zmienia; ciszę wypełniają słowa, które mówię do siebie w głębi.

Gdzie jest Marion, moje małe kochanie?...

12. Siki rybek

Kręcę się wokół niego, wypytuję go wzrokiem, czy mam podporządkować się nakazom, czy ich nie słuchać? Telefon pozostaje obojętny, nie ma na ten temat zdania. To ty decydujesz, ja jestem tylko przedmiotem.

Nakaz: Masz do nas nie dzwonić, to ja zadzwonię, zrozumiałeś?

Odebrałem tylko jeden telefon, bardzo krótki: „Dojechaliśmy, wszystko jest w porządku”. A głos nie był tym, za którym tęsknię.

Trzy dni bez wiadomości o niej. Trzy dni nie słyszałem wątłego głosiku mojej córeczki. Trzy dni, a ja nadal czekam. Czy mam być posłuszny? Dość tego.

Głos mojej teściowej jest suchy - pustynia jest z pewnością mniej sucha od niego. Przypomina mi zalecenie: mam nie dzwonić, Béatrice nie ustąpi. Szaleję z niepokoju? I co z tego? Po tym, co zrobiłem swojej żonie, mam jeszcze tupet, żeby się skarżyć?

Zgoda, zgoda, rezygnuję od razu, chciałbym tylko po rozmawiać z Marion, proszę pani.

- To bardzo poważne przewinienie, Benjamin. Niesłuchanie poważne. Mężczyzna, który nie szanuje swojej żony, nie zasługuje na taką żonę jak Béatrice.

Ach tak? Bo z inną byłoby to mniej żenujące? Są kobiety, których można nie szanować i nie stanowi to problemu? Powiniennem przeczytać na nowo Deklarację Praw Człowieka, chyba wszystkiego nie zrozumiałem.

- Benjamin, myślałam, że jest pan dobrym człowiekiem. Jestem rozczarowana. Bardzo rozczarowana.

- Ja również.

- Jak to?

- Pani również mnie rozczarowuje. Chcę rozmawiać z Marion.

- Ach, jeśli będzie pan do mnie mówił tym tonem...

- Pani ma prawo do mnie mówić nie wiadomo co, nie mając o niczym pojęcia, a ja mam milczeć?

- Nie mając o niczym pojęcia? W tym momencie jest pan komiczny! Wiem wszystko, Benjamin. Béatrice o wszystkim mi opowiedziała. O wszystkim!

- O czym wszystkim?

- O wszystkim! Byłam niesamowicie zaszokowana. Gdybym była na pana miejscu, nie miałabym powodów do dumy. Jak może pan na siebie patrzeć w lustrze?

Odwracam wzrok w stronę lustra.

- To nic skomplikowanego, może pani spróbować... i niech pani odda słuchawkę Marion.

Cisza. Potem stuknięcie w moim uchu. Odłożyła słuchawkę. Jest bardzo zagniewana, jak mi się wydaje.

Dzwonię znowu. Jestem gotów dzwonić, dopóki nie usłyszę wątlęgo głósiku mojej córki. Jestem gotów molestować ją telefonicznie dzień i noc. Będę rozmawiał z Marion.

- Benjamin, nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

- To z Marion chcę rozmawiać.

- Potrzebna byłaby zgoda Béatrice, a ona akurat wyszła.

- Jestem ojcem Marion i chcę z nią rozmawiać.

- Zadzwoń pan później.

Popatrz! A zalecenie?

- Chcę rozmawiać z nią teraz.

- Béatrice ma rację, jest pan chamem. Przypominam panu, że jestem pana teściową!

Już niedługo, mam nadzieję...

Co? Kto każe mojemu mózgowi tak myśleć? To muszę być ja, nie widzę innej możliwości... Wprawia mnie to w zakłopotanie. Nie zauważyłem, kiedy ta myśl mnie na szła, jakby była już we mnie, nie sprzedając mnie o tym. Jestem tak zbity z tropu, że trudno mi to przyjąć do wiadomości: dzięki temu, że zachowałem się jak cham, nie grzecznie, rozczarowująco, zyskałem to, czego chciałem. A ona by chciała, żebym był uprzejmy? Wyciągam z tego smutny morał.

- Tato?

Cichutki, wąty głos zaskakuje mnie tak bardzo, że nagle radość zalewa mnie całego. Jestem nią przepelniony, jestem tą radością. Jestem tylko nią.

- Tato, to ty?

Usłyszenie tego już samo w sobie jest cudem. Wszystko, co ona mówi, jest piękne. Nie wie o tym i to też jest piękne. Wszystkie jej słowa są jak klejnoty.

A kiedy do niej mówię, to przede wszystkim dla przyjemności usłyszenia, jak mi odpowiada, dla radości słuchania tego głosu.

- Tato... Czy rybki też robią siku?

Czy to nie piękne?

Mówię, że nie znam się za bardzo na rybkach, ale moim zdaniem rybki też robią siku, nie ma powodu, żeby nie robiły...

- A więc kiedy jestem w morzu, to jestem w sikach rybek...

To zbyt piękne! Podziwiam ją. Jestem z niej dumny. Nigdy o tym nie pomyślałem.

- Tato... Czasami niechęć piję wodę z morza. To znaczy, że piję siki rybek?

To wspomniała. Nie posiadają się z radości. I uspokajam ją: w morzu jest tyle wody, a siki rybek są takie małe, że są rozpuszczone, zmieszane z wodą i na koniec nie zostaje z nich prawie nic. Mówię jej, że może się spokojnie kąpać.

- Tak, ale trochę ich zostaje. Nie chcę się kąpać w sikach.

Nie wiem, czy będę mógł się teraz kąpać bez tej ukrytej myśli... Ale to takie urocze, kiedy ona to mówi.

- Babcia i mama mówią, że rybki nie robią siku.

Dobrze... Na pewno narobię sobie kłopotów. Ale jeden więcej, jeden mniej...

- Babcia i mama myślą, że jesteś zbyt mała, żeby zrozumieć to, co ci wytłumaczyłem. Dorosła osoba rozumie, że sików ryb prawie nie ma, bo są zmieszane z wodą. Ja uważam, że jesteś wystarczająco duża, żeby to zrozumieć. Nie sądzisz?

Waha się, mówi jakieś słodkie: „Mhm taaak...”

Przypuszczam, że przemyśli tę sprawę, to znaczy porozmawia o tym poważnie ze swoją lalką, żeby lalka, dobrze poinformowana, wyjawiała jej, co należy o tym wszystkim myśleć. Niema lalka często opowiada o tym, co myśli Marion. Lalka jest bardzo użyteczna...

Jak by nie było, Marion zostawia sobie czas na przemyślenia i zmienia temat.

- Tato, chcę, żeby do mnie przyjechałeś.

Rozpływam się, słysząc to. I wyobrażam sobie Beatrice, jak karci ją wzrokiem. I jej głos niczym uderzenie bicia: „Żebyś przyjechał! Naucz się mówić poprawnie!”

- Chcę, żebyś przyjechał... Nie mogę, mój aniołku, nie mam wakacji.

- To powiedz grubemu wieprzkowi, że chcesz...

- To nie jest gruby wieprz, moje kochanie. Ma na imię Aimé.

Jest zakłopotana.

- Ale mama mówi...

- Wiem, ale ja chcę, żebyś nazywała go Aimé, dobrze?

Tym razem to ja zmieniam temat albo raczej próbuję.

- Tato, chcę, żeby byłeś tutaj...

Rozpływam się ze wzruszenia - i cierpię.

- Chcesz, żebym był z tobą... Ja też chciałbym, ale...

Ale rozmowa się kończy. Pojawia się Béatrice. Słyszę na wpół pustynny głos, suchość i grzeczność dziwnie po mieszane.

- Marion, powiedz do widzenia, proszę cię, i odłóż natychmiast słuchawkę.

Mała trochę protestuje. Za bardzo. Przechodzimy zatem na całkowicie pustynny obszar, najmniejszego śladu roślinności, tylko wydmy jak okiem sięgnąć.

- Marion, odłóż słuchawkę! Natychmiast!

- Do widzenia, tato...

W tym głosie nie ma smutku, jest rezygnacja. Przyzwyczajenie.

U tych ludzi, proszę pana, się nie dyskutuje, wydaje się tylko rozkazy.

- Do widzenia, mój aniołku, moja mała czarodziejko, moje małe kochanie...

Nie słyszy dalszego ciągu, odłożenie słuchawki powiadamia mnie o cenzurze. Mówię, cenzurowany, że myślę o niej. Myślę, nadal cenzurowany, że mi jej brakuje. Że ją kocham - nadal cenzurowany.

Wycieram oczy wierzchem dłoni i odkładam słuchawkę.

Jestem nieszczęśliwy.

Mam dwie ręce, dwie nogi, jestem zdrowy - i mimo to nieszczęśliwy.

Mam zdrowe dziecko, które ma się dobrze, rozkoszne dziecko, i mimo to jestem nieszczęśliwy.

Mam interesujący zawód, dobrze zarabiam, mam gdzie mieszkać, dziękuję - i jestem nieszczęśliwy.

Moja żona jest piękna, inteligentna - i jestem nieszczęśliwy.

Wiele osób chciałoby być na moim miejscu, w moim łóżku - i jestem nieszczęśliwy.

A najgorsze jest to, że nawet się tego nie wstydzę.

Mój neuron jest poruszony - czuję, że jest samotny, opuszczony, jego mali przyjaciele go opuścili. Mam już tylko jeden neuron - w dodatku zbity z tropu. Mój neuron pragnie akcji, a nie stagnacji.

Myśli, że gdyby zanosilo się na odrobinę akcji, wszyscy jego kumple, którzy uciekli z mojego mózgu z powodu bezczynności, natychmiast pojawiliby się z powrotem. Coś w stylu: jeśli jest jakaś robota, zgoda, przybywamy, ale jeśli mamy biadolić albo się uzalać, to nie, dziękujemy.

Przytakuję w ciszy, grzecznie kiwam głową. Działać... Ale jak?

Stworzyć stowarzyszenie szykanowanych, wyszydzonych, zniszczonych mężczyzn?

Uprowadzić Marion, wyjechać z nią daleko, daleko, daleko, dużo daleko?

Kupić aptekę, żeby mieć święty spokój i Marion przy sobie?

Spokój? Ale mi spokój! Kpisz sobie ze mnie czy co? Wierzysz w to? - w tym momencie mój neuron reaguje, jest rozszoszczony, zawiedziony.

Więc co?

Być posłusznym?

Być posłusznym, ale tym razem mając tego świadomość i wiedząc dlaczego?

Albo może...

Albo?

Tak, oczywiście.

To najlepsze ze złych rozwiązań. Jedyne. Zgadzam się, zgadzam się powoli i mój neuron jest zadowolony - niezwłocznie dostanie posiłki.

Moja decyzja przeraża mnie i motywuje, przyciąga i zasmuca, osłabia i wzmacnia.

Żeby być jak najbliżej siebie, jak najbliżej tej mieszanki uczuć, powinienem śmiać się i płakać jednocześnie.

Co też czynię.

13. Zdjęcie pod kanapą

Poczuła moje spojrzenie, podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

Poczułem jej spojrzenie na sobie, podniosłem wzrok i uśmiechnąłem się.

Uśmiechamy się do siebie często, ona i ja.

Wiem już, że kiedy odejdzie, to miejsce będzie mi się wydawało puste. Albo wypełnione jej nieobecnością.

Nowa asystentka ma na imię Sarah. Urocze imię. Została zatrudniona na kilka miesięcy, zastępuje kogoś na urlopie macierzyńskim. Urlopy macierzyńskie są strasznie krótkie, kiedy się nad tym zastanowić.

Aimé pyta mnie: „Co sądzisz o Sarah?”. Co chce przez to powiedzieć? Mówię, że jest fajna, bardzo fajna.

Być może zbyt fajna...

Nie pociąga mnie, nie, to nie to, zupełnie nie, ale... bardzo mi się podoba.

Mówi do mnie takim łagodnym głosem, jakby mi się zwierzała. Uśmiecha się do mnie, jakby była szczęśliwa, że tu jestem.

Nie, nie wymyślam żadnych bzdur, naprawdę. Nie, nie, to tylko sympatia.

Czuję, że wydaję się jej sympatyczny, to są rzeczy, które się odgaduje. Ona dobrze wie, że mi się podoba; to silniejsze ode mnie, szukam jej towarzystwa.

To tylko wzajemna sympatia, nic więcej.

Nie, nie, nie wyobrażam sobie, żebym mógł ją widywać poza godzinami pracy, nie należy wszystkiego mieszać. Nie, nie, to byłoby dwuznaczne, pomyślałaby sobie, że coś sobie wyobrażam... to zepsułoby naszą przyjaźń. Nie jesteś my przyjaciółmi, wiem, jesteśmy tylko kolegami z pracy, ale to nie przeszkadza czuć się przyjacielem.

Któregoś dnia, już nie wiem dlaczego, oboje zaczęliśmy się śmiać do rozpuku. Płakaliśmy oboje ze śmiechu, a kiedy w końcu się uspokoiiliśmy, kiedy udało nam się po patrzeć na siebie i nie zaczęliśmy śmiać się w najlepsze od nowa, było tak, jakbyśmy się znali od dawna, jakbyśmy znali się dobrze, jakby coś nas łączyło. To była radosna chwila, szczęśliwa chwila... Nie tylko ten śmiech, ale chwila, która po nim nastąpiła. Zwłaszcza ta chwila.

Odtąd było tak, jakbyśmy podpisali umowę o przyjaźni. Kiedy się z kimś tak śmiejemy, czujemy, że jesteśmy sobie bliscy.

Myślę, że są mężczyźni, którzy sypiając z kobietami, nie odczuwają tak silnego wrażenia intymności, jakiego ja doznałem owego dnia.

To dziwna myśl. Nie wiem, dlaczego jest dla mnie tak ważna, nie wiem, dlaczego do niej wracam; łączy nas, ją i mnie, większa intymność niż niektórych kochanków.

Tak, wiem dlaczego. Intymność w łóżku to coś, czego nie zaznałem od wieków i już nie zaznam. Nie, jestem na to za stary. Zbyt wyniszczony. Nie mam w sobie niczego, co mogłoby się podobać kobiecie. Ale z niemożności bycia kochankiem mogę zostać przyjacielem.

Tak, to właśnie to, tylko to, chciałbym być jej przyjacielem. Jak przyjaciel z dzieciństwa, któremu można się zwić rzyć, któremu można wszystko powiedzieć. Bliski przyjaciel.

Patrzę na nią, robię to jakby odruchowo, nieświadomie. Często i długo na nią patrzę. Jej włosy są trochę szalone, słodko nieuporządkowane, jakby tańczyły na jej głowie. Nos ma taki mały, że miałyby się ochotę go schrupać, zjeść jednym kęsem. Jej wargi zasługują na pocałunek kogoś interesującego, nie takiego nijakiego faceta jak ja. Nie wmawiam sobie bzdur, nie...

- Lubisz ją bardzo, nie?

Wzdrygam się.

To głos Aimé'go. To bez wątpienia on przed chwilą się do mnie odezwał.

Nie pytam, o kim mówi, mówię: „Tak, oczywiście...”. A ponieważ zamilkł, dodaję: „Jest sympatyczna”.

Jest sympatyczna... Te słowa dźwięczą mi w głowie, gdy zbieram się do wyjścia. Nie wiem, dlaczego to zdanie ma w sobie coś smutnego, nieskończenie smutnego. Wówczas orientuję się, że Sarah stoi obok mnie. Przytrzymuję jej drzwi i wychodzę za nią.

Stoimy oboje na chodniku, wpatruję się w nią, gdy mówi mi dobranoc.

To dziwne. Słyszę „Dobranoc?”. Słyszę znak zapytania. I odpowiadam, nie zdając sobie z tego sprawy, odpowiadam nie na to dobranoc.

- Czy... Sarah, czy masz trochę czasu dziś wieczorem?

Uśmiecha się zaskoczona.

- Tak, myślę, że tak... Czemu pytasz?

Czuję się tak, jakbym przygotował swój tekst po kryjomu, jakbym przygotował nawet sposób, w jaki go powiem. To, co się dzieje, jest

dla mnie niepojęte: mówię, że mieszkam o dwa kroki stąd, że zapraszam ją na drinka. I że byłoby mi miło, gdyby się zgodziła.

Ona też mówi, jakby miała przygotowaną odpowiedź. Mówi bez wahania:

- Tak, chętnie. Jeśli masz czas...

Czy mam czas? Jeśli coś proponuję, to znaczy, że mam czas. Odpowiadam na pytanie, którego nie zadała, a które mimo to usłyszałem. Mówię, że mieszkam sam, że moja córka wyjechała na jakiś czas z matką.

- Zazwyczaj mieszkasz z córką?

- Jak dotąd tak.

Wydaje się wahać, a ja czuję się niepewnie...

- Nie... Nie jesteś żonaty?

- Już prawie nie.

Powiedziałem za dużo. Albo za mało.

Jak w wypracowaniach sprzed lat, zaczynam niezręcznie rozwijać temat. Zupełnie jak kiedyś: słabo opanowałem temat, ale wykazuję dobre chęci. Mówię jej, że mojej żony i mnie nic już nie łączy - tak uważam, „a zwłaszcza nie miłość”, ale tego już nie mówię. Mówię, że żona chce mnie opuścić i że dobrze się składa, ponieważ już nie mogę jej znieść. Mówię, że jeśli zdjąłem obrączkę, to nie po to, żeby udawać kawalera - jest to akt symboliczny. Mówię, że moja przyszła była żona chce zabrać naszą córkę daleko, bardzo daleko.

Mówię wolno, idziemy równie wolno. Czuję na sobie jej spojrzenie i czuję się na tyle mocny, aby wyznać jej całą swoją słabość. Niech wie.

Mówię, że jestem zniszczony, niezłe poobijany i na razie potrzebuję reperacji.

Ona się uśmiecha.

Ona się uśmiecha! Mówię, że jestem już w połowie skończony, a ona się uśmiecha!

Otwieram drzwi i prowadzę ją do salonu.

Od razu, nie mogło być inaczej, zauważa zdjęcie Beatrice zawieszona tak, że nie można go nie zauważyć. Béatrice, która chce być tutaj również wtedy, kiedy jej nie ma. I to być podwójnie, chociaż i tak jest bardzo obecna.

- To ona? - pyta Sarah.

- To była ona.

Zdejmuję fotografię i wsuwam ją pod kanapę. Jest za późno, zobaczyła ją. Zdaje się jej, że ją widziała. Widziała tylko jej obraz, ale o tym nie wie. I już, jak wszystkie kobiety, które widzą to zdjęcie, czuje się nijaka, nieważna, odbarwiona. Ale i tak ma szczęście: niektóre czują się bardzo brzydkie, wręcz wstrętne. To zamierzony efekt. Jedynie Odile całkowicie się przyzwyczaiła. A przecież Odile... Mniejsza z tym.

- Jest bardzo piękna...

Sarah mówi to cicho, zamyślona. Doskonale to rozumiem: czy normalny mężczyzna może chcieć opuścić tak piękną kobietę?

A ja uważam, że normalny mężczyzna nie zostaje z taką kobietą. Ale to byłoby zbyt trudne do wytłumaczenia.

Moje milczenie ją zdumiewa.

- Ty nie uważasz, że jest piękna?

- Już nie. Bez wątpienia jest piękna, ale tylko z zewnątrz. Już tego nie widzę.

Mam sobie trochę za złe, że to mówię. Nie chciałbym wydawać się w jej oczach zbyt dziwaczny. Przynajmniej te raz, kiedy mam zaufanie do jakiejś kobiety... Ta kobieta godzi mnie ze wszystkimi innymi (no, prawie wszystkimi). A czyhała na mnie mizoginia. W każdej kobiecie widziałem potencjalną Béatrice. Było w tym coś chorobliwego, te najbardziej niewinne zdawały się ukrywać swoje zamiary, prawdziwą twarz zachowując dla najbliższego otoczenia.

Tak często widywałem Béatrice czarującą w towarzystwie, że każda czarująca kobieta stawała się dla mnie podejrzana (a każda kobieta zręczliwa, irytująca lub małomówna wydawała mi się raczej uprzejma).

Sarah mnie leczy. Nie podejrzewam u niej żadnego ukrytego oblicza, żadnej drugiej strony medalu. A przecież jest czarująca...

To wzruszające, jak ona wodzi za mną wzrokiem, kiedy krzątam się po kuchni, patrzy, jak wyciągam szklanki, słone ciastka, kostki lodu... To wzruszające, jak podąża za mną wzrokiem. Spowalням ruchy. Najchętniej spędził bym tak całe życie, tylko po to, żeby wiedzieć, że ona jest przy mnie, że dotrzymuje mi towarzystwa.

Uroczy jest sposób, w jaki rzuca mi uważne, zainteresowane spojrzenia. Spędziłbym tak całe życie.

Ale nadchodzi chwila, kiedy taca jest gotowa. Ona wybiera porto i tym razem to ja za nią podążam: chcę pić to samo co ona.

Wracamy do salonu i odczuwam niepokój, kiedy widzę, jak siada w fotelu Béatrice. Źle się czuję. Bardzo źle się czuję.

Biorę ją za rękę i pociągam delikatnie, żeby wstała, wskazując inny fotel. Nie protestuje.

- To jej miejsce? - pyta.

Przytakuję i temat zostaje zamknięty. Jestem jej za to nieskończenie wdzięczny.

Interesuje się Marion, pyta o nią. Po czym dziwnym głosem mówi, że nie może mieć dzieci i że zaczęła starania o adopcję. Wzruszona, ale mniej spięta dodaje, że osobie samotnej trudniej adoptować dziecko niż małżeństwu.

Kiedy sugeruję, żeby wyszła za mąż, uśmiecha się. Nalegam:

- Czemu nie?

Mówi, że jeden raz jej wystarczył, i wraca do Marion.

Starannie dobiera słowa, jakby bała się mnie urazić. Czuję się jakoś dziwnie, odzwyczaiłem się od delikatności. Zastanawiam się, czy nie śnię.

Niepokoi ją moje rozdzielenie z Marion:

- To musi być straszne cierpienie - być daleko od swojego dziecka...

- Tak... Ale jest jeszcze inne cierpienie, kiedy jest się ze swoim dzieckiem pod stałą kontrolą. Byłem w więzieniu bez krat. Kiedy będę widywał Marion, to będzie zawsze za krótko, ale będę wolny, będę rozluźniony, nie będę przez cały czas kontrolował swoich słów, czynów i gestów. Zawsze to zbyt krótko, ale tysiąc razy lepiej.

Dziękuję Plutarchowi, bez niego nigdy nie doszedłbym do takiej konkluzji. Ale na razie pozwalam jej wierzyć, że doszedłem do niej sam. Gdybym jej powiedział: „Dzięki Plutarchowi spróbowałem odwołać się do swojego rozumu i to mój rozum doprowadził mnie do tej konkluzji”, uważałaby, że jestem dziwny. Już i tak...

Słucha mnie. Ta powaga na jej twarzy, ta uwaga... Jestem zmieszany. Nie zasługuję na tyle uwagi. To, co opowiadam, jest takie banalne. Niedole zwyczajnej pary... Pyta mnie, czy mogę liczyć na wsparcie przyjaciół i czuć się mniej samotny. Nie odpowiadam.

Moich przyjaciół? Których przyjaciół? Miałem ich kiedyś, i to bardzo miłych... Dzisiaj mam już tylko przyjaciół Béatrice. To znaczy, że wcale nie mam przyjaciół. Moi przyjaciele jej nie odpowiadali, koledzy z roku, ponurzy farmaceuci... i nie było wśród nich żadnego Barana ani jego odpowiednika. Przedstawiłem ich Béatrice, nie spodobali jej się wystarczająco. Zacząłem widywać ich rzadziej. Co raz rzadziej. Potem całkiem przestałem. Wysłałem im kartki świąteczne,

odpowiadają co roku... oto co pozostało mi w dziale przyjaźni. Cóż... zawsze mogę zaprzyjaźnić się z Aurélienem.

Ale oszczędzam tych szczegółów Sarah, streszczam się, nie chcę jej zanudzać.

To zabawne, jak czas szybko płynie, kiedy spędzam go z nią...

Kiedy wstaje, czuję się opuszczony. Muszę coś powiedzieć. Coś, żeby wróciła. Coś, żeby... Nie wiem, nagle jestem zmieszany. Ona zaraz odejdzie, a ja siedzę bez słowa, zbity z tropu.

Mówię niezręcznie, jakbym miał piętnaście lat i jakbym chciał zaprosić dziewczynę do tańca - że miło mi było ją gościć, że miło mi było z nią porozmawiać, że pragnąłbym jeszcze... Jestem beznadziejny!

Ona mówi tak i uśmiecha się zagadkowo. Co tak? „Tak, ja również bym chciała”? A może „Tak, słyszałam”?

I nagle... Nie wiem, czy to sposób, w jaki na mnie patrzy, taki porywający, taki zaskakujący, wiem tylko, że nie mogę się oprzeć, wiem to całym sercem, całym ciałem. Muszę za wszelką cenę wziąć tę kobietę w ramiona, przynajmniej raz w życiu. Przynajmniej raz... jeśli mnie nie odepchnie.

Boję się i pragnę tego. Pragnę tego i boję się. Podchodzę bardzo blisko, ona się nie rusza. Jeszcze bliżej, nie ucieka. Już się nie boję. Otaczam ją ramionami, przyciągam do siebie, przytulam.

Jest w moich ramionach, to wszystko. To dużo.

Przytulam ją, nie mówię nic, tak jest lepiej. Słowa zepsułyby tę chwilę. Jej ciało przy moim; delikatnie, mocno, zniewalająco. Jestem zniewolony.

Mam ochotę kochać się z nią - powoli, delikatnie, nie skończenie. Mam ochotę kochać się z nią bez protokołu, tak, jak samo się łoży.

Jakby nasze ciała wiedziały to, czego my jeszcze nie wiemy. Pragnę jej, to pragnienie ogarnia mnie całego, nie tylko małą część mojego ciała nagle przebudzoną, całe moje ciało pobudza to pożądanie, moje ręce, moje nogi, moje plecy, całą skórę. Jestem oszołomiony.

Nie wiem, czyją też ogarnia to pragnienie, czy tylko wy obrażam sobie, że tak jest, bo ja tego chcę. Nie, czekam na próżno. Jej uścisk jest ciepły, nie namiętny. A może? A może jednak? Może sposób, w jaki przebiega palcami po moich plecach, delikatnie, potem bardziej stanowczo, jakby chciała mnie zachować przy sobie, dotknąć mojej skóry?

Czy jakakolwiek kobieta może mieć ochotę na takiego faceta jak ja?

Odsuwa się, obawia się, że to stanie się dwuznaczne, że ten uścisk nadto się przedłuży, ta bliskość ciał, to oddanie. Ale mnie bardzo się to podobało. Ona się odsuwa, uśmiecha się do mnie zakłopotana. Widzę, że już żałuje, że dała się ponieść emocjom. Widzę już, jak ja żałuję, że jej nie pocałowałem.

Chciałbym, żeby została. Chciałbym jej to powiedzieć i nie śmiem. Już nie chcę jej całować. Całować ją, tak, całować ją, nie. Nie śmiem... i jednocześnie przeklinam się za to, że nie śmiem.

Proponuję, że ją odprowadzę, a ona słodko potrząsa głową.

Już wychodząc, odwraca się do mnie, jakby nagle o czymś sobie przypomniała.

Patrzy na mnie dziwnie i mówi równie dziwnie:

- Zaczynam się do ciebie przywiązywać... Czy sądzisz, że to niebezpieczne?

Słyszę to zdanie, dźwięczy we mnie echem niczym tajemnica, zagadka. I odpowiadam:

- Nie, to nie jest niebezpieczne, wcale nie...

Patrzę, jak odchodzi. Na razie to wszystko, co wiem: Sarah odchodzi, a ja zostaję.

Zostaję z tym dziwnym zdaniem. Chcę wyjaśnić tę tajemnicę, dowiedzieć się, co się kryje pod słowami.

Siadam na podłodze.

Muszę usiąść na podłodze, żeby zrozumieć to zdanie, nie potrafię inaczej. Co ona mi powiedziała?

„Zaczynam się do ciebie przywiązywać... Czy uważasz, że to niebezpieczne?”

Pozwalam swoim myślom przepływać. To tak, jakbym odkręcił kran.

Już nie wiem, jak się uprawia miłość. Zapomniałem. Czy będę jeszcze potrafił? Czy jest możliwe, żeby coś ta kiego mi się jeszcze przydarzyło? To zbyt piękne jak dla mnie. Nie zasługuję na to. Tak bardzo boję się rozczerowania.

Do czego ja jestem podobny całkiem nagi? Trochę przytyłem w ostatnim czasie... za dużo pizzy, jak sądzę. Już za późno. Dziesięć lat temu jeszcze jakoś wyglądałem. Poza tym nie potrafiłbym... Są gesty, są zachowania... zbyt intymne. Prawie boli ich wyobrażanie sobie, tak bardzo intymne. A ja jestem taki niezręczny.

Nie myśl już o tym, śniło ci się, zapomnij o tym.

Ale to zdanie...

Zastanawiam się, siedząc na podłodze. Pozwalam, żeby tajemnica się wyjaśniła. Nagle iluminacja! Zdanie się rozjaśnia. Znalazłem wyjaśnienie, mam wreszcie rozwiązanie...

Podnoszę się.

Jeszcze trochę, a byłbym szczęśliwy.

14. Wezwanie do dyrektorki

Wydaje mi się, że się zmieniła, choć pozostaje taka sama. Wydaje mi się, że urosła. Wydaje mi się, że jest co raz bardziej żywa, coraz ładniejsza, coraz bardziej urocza. Zupełnie się rozczuliłem.

Nie mówię, że mi jej brakowało, mówię, że jestem szczęśliwy, że wróciła.

Opowiada, zamieniam się w słuch. Wszystko mnie interesuje. Nie przejmuję się już prawie wcale sikami rybek. Nauczyła się pływać, lubi pływać na wznak, patrząc w nie bo jak w sufit, mówi, bardzo wysoki sufit. Babcia kupiła nawet pizzę, żeby sprawić przyjemność mamie. Lepiej późno niż wcale, niech żyje pojednanie.

Patrzę na nią, nie mogę się na nią napatrzeć. Jest tutaj, to błogosławieństwo. To prezent, który spadł mi z nieba - albo z sufitu, to zależy.

Wymawiam jej imię słodkie jak cukierek, przesłodkie: Marion... Przytulam ją niczym skarb. Przelotny.

- Marion, zanudzasz nas! Pora iść spać! Jestem wykończona... Do łóżka!

Dzisiaj nie ma opowiadania. Rytuał został zaniedbany, tylko małe rączki się łączą, przybierając nocną pozycję...

Rozkoszuję się tą chwilą niczym cudem. Tak często wy obrażałem sobie ten gest.

Zaledwie przymknęła oczy, gdy pociąg ze snami rusza, proszę wsiadać, dziewczynko, miłej podróży...

Wychodzę na palcach.

Daję sobie chwilę odpoczynku, udając się najpierw do łazienki. Zamykam drzwi na klucz.

Sprawdzam po raz ostatni... Posprzątałem, usuwając skrzętnie wszelkie podejrzane (aczkolwiek urocze) ślady, ale jeszcze przed chwilą natknąłem się na wsuwkę do włosów pozostawioną na brzegu umywalki. To taka czynność pomyłkowa, niezwykle niepokojąca. Włożyłem ją do swojej kosmetyczki, razem z innymi rzeczami, równie przyjemny mi: kremem na dzień, który pachnie niczym poranna rosa, uroczą fioletową szczoteczką do zębów...

Nadeszła wyznaczona pora - zostaję wezwany. „Benjamin, porozmawiamy, jak mała będzie w łóżku”. Nie śpieszy mi się.

Przyleciały późnym popołudniem. Instrukcja była jasna i nieodwołalna: miałem nie czekać na nie na lotnisku. Prowadzę jak noga, to wiadomo, Béatrice nie życzyła sobie, żebym zabił je w drodze powrotnej. Niech tam. (Gdybym się zabił, jadąc na lotnisko, byłoby to dużo mniej krępujące, jeśli dobrze zrozumiałem). Poinformowała mnie, że taksówki zostały stworzone dla ludzi, a nie dla psów. Miałem ochotę zaszczezać.

Gdy dzwoniłem ostatnio, zostałem szybko odprowadzony, nie dostosowałem się do zaleceń, kilka razy ściałem się z teściową...

Usunąłem zatem wszelkie ślady Sarah, przygotowałem małą uroczystą kolację na cześć Marion. Przyjechały o wy znaczonej porze, ale nie taksówką.

Kiedy go zobaczyłem niosącego bagaże, pomyślałem, że mam halucynacje.

- Benjaminie, Martin był tak uprzejmy, że przyjechał po nas na lotnisko.

- Nie sprawiło mi to żadnego kłopotu - wypalił osioł imieniem Martin.

Czy powinienem mu podziękować?

Pożałowałem, że Sarah już wyszła: im więcej ludzi, tym lepsza zabawa. Byłoby biesiadnie, nieprawdaż?

A potem już o niczym nie myślałem, tylko o Marion.

Martin został na aperitif, atmosfera była duszna. Ale niewiele sobie z tego robiłem, słuchałem swojej córeczki, patrzyłem na nią, nic innego nie miało znaczenia. Martin wyszedł i Béatrice oznajmiła, że porozmawiamy wieczorem. „Nie będziemy przecież rozmawiać przy małej”.

Po raz ostatni myślę o Sarah, żeby dodać sobie odwagi. Kiedy się uśmiecha, w policzkach robią jej się dwa małe dołeczki. Nadają jej szelmowski wygląd. Z myślą o tym uśmiechu, tak rozbajającym, wychodzę ze swojego schronienia.

Mam wrażenie, że jestem skromnym pracownikiem wezwanym przez dyrekcję. Drobnym pracownikiem, który ma już dosyć strofowania i zamierza złożyć wymówienie.

Dyrektorka czeka na mnie. Jej głos jest nieustraszony, jak jej spojrzenie. Naprawdę zapomina się, jaka jest piękna; kiedy się o niej myśli, pamięta się głównie jej bezwzględność. Zwłaszcza kiedy zbyt długo jest się jej podwładnym.

- Benjamin!

- Obecny!

- Możesz mi powiedzieć, gdzie się podział mój portret?

- Twój portret?

- Moje zdjęcie! Czy mogę wiedzieć, gdzie jest?
- Pod kanapą.
- Kpisz sobie ze mnie?
- Nie...

Schyla się, wyciąga fotografię spod kanapy. Patrzy na nią przygnębiona. Nie krzyczy, mówi bezdźwięcznym głosem.

- Dlaczego to zrobiłeś?
- Ja... Nie przepadam za tym zdjęciem.

Otwiera szeroko oczy.

- Ależ wszyscy mówią, że jest wspaniałe! Martin znalazł w nim nawet inspirację do zilustrowania postaci kobiecej z mojej kolejnej książki. Mówi, że jestem na nim bardzo ekspresyjna, że emanuję kruchością i delikatnością. Mówi, że to zdjęcie jest bardzo wzruszające... Nie lubisz tego zdjęcia, Benjamin, dlatego, że już na mnie nie patrzysz. Nie chcesz wiedzieć, kim naprawdę jestem.

Co do kruchości Béatrice, to dostrzegłem ją przez moment, bardzo krótki, kiedy znalazła swój portret pod kanapą.

Usuwa kurz z obrazu i wiesza go z powrotem na swoim miejscu. Cofa się i przypatruje mu uważnie, szuka się w nim, odnajduje, upewnia się: portrecie, mój piękny portrecie, czy nadal jestem najpiękniejsza? W tej chwili jest na swój sposób wzruszająca. Nie ma żadnego powodu, żeby na wet najbardziej surowemu z szefów nie zdarzały się chwile zwątpienia, a w takich chwilach mogą być odrobinę wzruszający, pozostając przy tym władczyimi i twardymi.

Gdy już się upewniła, odwraca się do mnie.

Zwątpienie było tylko przelotne. Mówię sobie, że to szkoda, że może byłaby miłsza, gdyby zostało jej na dłużej.

Ona stoi, ja siedzę.

Patrzy na mnie z góry. Podnoszę wzrok.

Jest pewna zwycięstwa. Obawiam się, że ją rozczaruję...

- Benjamin, mam nadzieję, że dobrze spożytkowałeś moją nieobecność. Zastanowiłeś się?

- Tak.

- Jesteś gotów się zmienić?

- Tak.

- Chcesz, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa? Na zdrowszych podstawach?

- Tak.

Uśmiecha się.

- Chcesz, żebyśmy żyli jak prawdziwa para, kochająca się para, rozumiejąca się nawzajem, słuchająca się nawzajem?

- Nie.

- Słucham?

- Béatrice, życie ze mną stało się dla ciebie zbyt bolesne. Lepiej będzie, jak się rozstaniemy.

- Co?

Nagle siada. Wpatruje się we mnie. Mogłoby się zdawać, że nigdy wcześniej mnie nie widziała. Popęlam właśnie kolejne przestępstwo:

- Chciałbym, żebyśmy się rozstali.

Jest błada. Wygląda, jakby coś ją bolało. Jakby się za gubiła i nic, naprawdę nic nie chce wskazać jej drogi. Gdy bym ją kochał, wziąłbym ją w ramiona.

- Benjamin, już mnie nie chcesz?

- Dla mnie również stało się to zbyt bolesne.

Cisza.

Zdaje się szukać słów. Jej spojrzenie się gubi, jest zbита z tropu, wygląda, jakby oczekiwała, że ktoś przyjdzie jej z pomocą. Nic nie mogę dla niej zrobić.

Nagle myślę o Martinie, jestem gotów ustąpić mu miejsca, powiedzieć mu, żeby został przy niej i opiekował się nią.

- A Marion? Czy pomyślałeś o Marion? Gdybyś ją na prawdę kochał...

- Kocham ją naprawdę.

- Uprzedzam cię: jeśli się rozejdziemy, otrzymam prawo do opieki nad nią, to pewne!

Odzyskała trochę kolorów. I podniosła głos.

- Słyszysz, Benjamin? Zostanie mi przyznane prawo do opieki nad nią!

- Nie wątpię.

- I to nie robi na tobie większego wrażenia? Będziesz widywał swoją córkę tylko raz albo dwa w roku, rzadziej niż Aurélien!

- Nie, wspólna opieka to...

- Możesz wybić sobie z głowy wspólną opiekę! Możesz natychmiast o niej zapomnieć! Jeśli mnie porzucisz, wyjadę na Gwadelupę, uprzedzałam cię.

Wyczekuje mojej reakcji. Myślę, że czas jej powiedzieć...

- Wiesz, zastanowiłem się nad twoim pomysłem. Rozejrzałem się podczas twojej nieobecności, przeprowadziłem badania rynku zbytu i znalazłem niezły interes: jeden aptekarz idzie na emeryturę i sprzedaje aptekę...

- Benjamin? Czy dobrze zrozumiałam?

- Tak, kupię ją, wiesz. Na Gwadelupie to wychodzi dużo taniej.

15. Pułapka na szczury

Tylko głupcy nie zmieniają zdania. Otóż Béatrice nie jest głupcem. A więc...

Zresztą nigdy nie wątpiłem w jej inteligencję, raczej się jej obawiałem... Gdyby była mniej przebiegła, być może byłbym trochę mniej pusty, trochę mniej próżny, kiedy stanąłem przed drewnianą ławą.

Jak by nie było...

Po chwili osłupienia - chwili, którą, przyznając się rozkoszowałem - wzruszyła ramionami i uniosła wzrok ku niebu.

- Chciałbyś tam za mną pojechać? Co za bzdura!

- Nie za tobą, ale za Marion...

- Ach! To ty naprawdę sądzisz, że pojechałabym się tam zakopać?

Nigdy nie wyobrażałem sobie Gwadelupy jako cmentarza...

- Ależ Benjamin! Nie myślałeś przecież, że pojedę mieszkać w pobliżu mojej matki! To byłoby piekło!

Pojednawcza pizza okazała się zatem mało skuteczna. Albo może nie udało im się dogadać w sprawie rybich sików. Nieważne.

- Béatrice... Czy nie zamierzałaś wyjechać tam z Marion, gdybyśmy się rozstali?

- Potrafisz uwierzyć w byle co! Powiedziałam tak, że byś mógł sobie wyobrazić, czym jest rozstanie. Jeśli pojechałam tam na miesiąc, to po to, żebyś wiedział, co znaczy życie bez Marion.

- To był staż szkoleniowy?

- Udawaj cwane! Śmiałyś się mniej, gdybyś za dzwonił do Auréliena. Dla niego to rozstanie jest codziennym rozdarciem. Jemu przynajmniej zależy na dzieciach.

- Tak, i pieprzyć się jak królik. Nie ma w tym sprzeczności.

Znowu wzrusza ramionami. Unosi wzrok ku niebu. To gesty, które do siebie pasują. Rodzaj choreografii pogardy. Sądzę, że gdybym oglądał jeszcze przez kilka lat ten jej taniec, ciągle ten sam, ciągle podstępny, tę grę jej oczu i ramion uniesionych przeciwko mnie, rozchorowałbym się w końcu od tego, a może jeszcze gorzej.

A więc jej przeprowadzka na Gwadelupę to był blef...

Dobrze się składa. Moja strategia też jest blefem.

Wyobrażam sobie pewien uśmiech, dołeczki na pewnej twarzy i ogarnia mnie fala wdzięczności. Wdzięczności po mieszanej z czułością, boskiej mieszanki. Dziękuję, Sarah, miałaś genialny pomysł.

Co? Co ona mówi?

- Żartowałaś, kiedy mówiłaś, że chcesz, żebyśmy się rozstali? Chciałaś mnie sprawdzić?

- Wcale nie. Poinformowałam się. Teraz można się rozwieść względnie szybko. Wkrótce będziesz wolna, Béatrice.

Jest trupioblada. Jakbym oznajmił jej złą wiadomość.

- Ale ja nie chcę!

- Zmieniłaś zdanie?

- Nigdy nie chciałam się rozwodzić, Benjaminie. Kocham cię.

Zatkało mnie. Czuję, że ja również błędę.

- Ty wszystko wyolbrzymiasz, Benjamin. Oczywiście, że od czasu do czasu miewamy sprzeczki, oczywiście, że nie zawsze potrafimy się dogadać, ale taka jest kolej rzeczy. To są niedole zwyczajnej pary.

Zastanawiam się, skąd wytrzasnęła to wyrażenie. Gdzieś je musiała usłyszeć: Odile? Martin? A może prosto z ust któregoś z Baranów?

Ja nie jestem o tym przekonany. Nie ma zwyczajnych par albo są szczęśliwe i nie przeżywają tych niedoli.

- Kochasz mnie, Benjamin? Czy nadal mnie kochasz?

- No... Nie.

Z wystraszonego wzrokiem czepia się nagle gorączkowo mojej ręki.

- Benjamin... To boli!

- Przykro mi.

- Mówisz tak, żeby się zemścić, ale mnie kochasz, Benjamin, kochasz mnie jeszcze...

- Nie. Odczuwam w stosunku do ciebie przywiązanie, przyjaźń...

Mój Boże, jak te rzeczy są trudne do wypowiedzenia. I do usłyszenia...

Ona wrzeszczy, zrywa się z miejsca. Chwila zagubienia minęła.

- Przyjaźń! Przywiązanie! Ale ja mam to gdzieś! Ja chcę miłości!

Myślę o Martinie, myślę również o tej urodzie, z której jest taka dumna, i mówię sobie, że jej przypadek nie jest beznadziejny.

Uspokajam ją, mówię, że spotka wiele innych miłości, że jest piękna, że bardzo podoba się mężczyznom, że... Przerzywa mi.

- Benjamin, nie marnuj śliny. Nie zgadzam się na rozwód, kropka, to wszystko. Nie możesz się rozwieść bez mojej zgody.

- Mogę. Zdaje mi się, że mogę, mogę wystąpić o rozwód ze względu na trwały rozpad małżeństwa, tak się to nazywa.

- Więc bardzo źle cię poinformowano! Mógłbyś otrzymać rozwód tylko w przypadku, gdybyśmy mieszkali osobno od dwóch lat.

- Tak?

- Tak! Skonsultowałam się z przyjaciółką Odile, tą adwokatką. Doskonale mnie poinformowała o moich prawach.

- A zatem będę mieszkał sam przez dwa lata, a potem otrzymam rozwód.

- Jeśli odejdziesz, pogorszysz swoją sytuację, to będzie porzucenie miejsca zamieszkania małżonków. Nie zgodzę się powierzyć ci Marion, nawet w weekendy, nawet w wakacje, a dwa lata później dostaniesz rozwód, ale z twojej winy! Dwa lata bez Marion, jesteś na to przygotowany?

- To niemożliwe. Mogę odejść i nadal widywać Marion...

- To nieprawda! Zupełna nieprawda! Jeśli przyjmuje się, że nastąpił trwały rozkład małżeństwa, jak mówisz, trzeba to udowodnić separacją od ponad dwóch lat... i wówczas żegnaj Marion! Albo zeznaniami świadków: to znaczy musisz znaleźć kilka osób, które zeznają, że nasze więzy małżeńskie zostały zerwane i że one to skonstatowały. Powodzenia! Zdziwiłabym się, gdyby nasi przyjaciele zeznawali przeciwko mnie, do tego by się to sprowadzało, widzisz!

Ja też bym się zdziwił. Nasi przyjaciele są jej przyjaciółmi. Ale bardzo wątpię, żeby prawo obligowało kogoś do mieszkania ze współmałżonkiem tylko dlatego, że nie zebrał dowodów.

Ten, kto blefuje raz, jest zdolny blefować trzy razy.

- Béatrice, mówisz to po to, żebym zrezygnował, wiem.

- Myśl sobie, co chcesz. Patricia wie, co mówi.

- Patricia? Nie znam.

- Przyjaciółka Odile, adwokatka. Nawet nie kazała mi płacić za konsultację, to miłe, nie?

- Urocze!

Wzrusza ramionami, potem kolej na oczy... i ona chciałaby, żebym ją kochał? Żebym mimo wszystko ją kochał?

- Dlaczego poszłaś do adwokatki, jeśli nie chcesz się rozwodzić?

- Żeby się zabezpieczyć! Odnosiłam wrażenie, że coś knujesz, nie wiem co, po kryjomu. Chciałam poznać swoje prawa. A skoro jaśnie pan mi nie wierzy, skoro potrzeba mu dowodów... oto one!

Wstaje pośpiesznie, grzebie w swojej osobistej szufladzie, w której podczas pisania układa teksty i której nigdy nie otwieram - takie jest zalecenie. Wymachuje papierami, broszurami, rzuca mi je na kolana.

Rozwód wytłumaczony naiwniakowi.

Czytam.

Czytam ponownie.

Szukam fortelu; nie ma. To przerażająco jasne: jeśli nikt nie zgodzi się zeznać, że nastąpił trwały rozkład małżeństwa, nie mogę się rozwieść - chyba że nie będę widywał Marion przez dwa lata.

Otóż Béatrice potrafi się zachować w towarzystwie, uchodzi za wzorową żonę.

Otóż nigdy nikomu się nie żaliłem, nie śmiałem. Ledwie śmiałem żalić się samemu sobie...

Otóż jeśli oświadczę, że drzemie w niej inna, mniej piękna kobieta, to sam wyjdę na łajdaka, a ona będzie ofiarą.

A więc muszę żyć z kobietą, której już nie kocham.

Jestem jak szczur w pułapce.

Jestem zaszokowany, zrozpaczony. Mam ochotę płakać. Chcę zobaczyć Sarah, wziąć ją w ramiona. Opowiedzieć jej o tej pułapce na szczury, piekielnej, nieznośnej.

Sarah, widzę jej uśmiech, słyszę jej śmiech...

Będziemy musieli spotykać się po kryjomu, tłumaczyć się nadgodzinami, kolacjami z grubym wieprzkiem, szkoleniami, stażami... Nienawidzę, nie mogę znieść tej myśli. A jeśli odejdę, to będę zmuszony widywać Marion po kryjomu, incognito. Wyobrażam sobie, jak czatuję na nią przed szkołą, po lekcji tańca albo muzyki... Tej myśli również nie mogę znieść.

Złapany w pułapkę jak szczur... Dla Marion jestem zmuszony zostać, nie mam wyboru.

- Więc? Widzisz, miałam rację.
- Jak zawsze...
- Benjamin, przestań się dąsać. Kocham cię, wiesz o tym. Ty może mnie już nie kochasz, ale ja cię kocham.
- Nie!
- Ależ tak! Wiem dobrze, że cię kocham.
- Nie wsadza się do więzienia kogoś, kogo się kocha.
- Od razu wielkie słowa! Chcę cię zatrzymać przy sobie, bo cię kocham, to nie więzienie!
- Co ty o tym wiesz?
- Znam się na tyle, żeby wiedzieć, że moje towarzystwo nie jest takie uciążliwe. Długo nad sobą pracowałam, wiesz.
- No to zrobiłaś to byle jak. Nie znasz się aż tak dobrze, jak ci się wydaje.
- Przestań, Benjamin! Nie bądź nieprzyjemny, proszę cię. Uczynienie naszego życia nieznośnym w niczym ci nie pomoże!

Uczynienie życia nieznośnym... Dziękuję, Béa, ta sugestia jest wspaniała, to miło z twojej strony.

- Benjamin... Chcę, żebyś uwierzył, że jeśli chcę z tobą zostać, to dlatego, że cię kocham...

- Kochać kogoś to znaczy chcieć, żeby ta osoba była szczęśliwa... nawet bez nas.

- To, co mówisz, to utopia! Kompletna utopia! Jeśli kochasz kogoś, chcesz zatrzymać go przy sobie.

- Zatrzymać? To nie jest miłość, mylisz uczucia z potrzebą posiadania. Łudzisz się, nie kochasz mnie, chcesz jedynie, żebym do ciebie należał, żebym był ci posłuszny.

- Benjamin, wszystko źle odbierasz!

- Tak, jestem dość przeczulony. Musisz się do tego przyzwyczaić albo mnie wyzwolić. Dobranoc.

Wstaję. Jestem zdecydowany.

- Benjamin, to tylko trudna chwila, przewyciężymy ją. Jeśli dołożysz starań, zobaczysz, wszystko będzie jak dawniej.

- Nie zależy mi na tym. Do widzenia.

- Benjamin! Nie skończyliśmy rozmowy, przecież nie pójdziemy spać skłóceni...

- Ja skończyłem. I położymy się spać skłóceni tyle razy, ile razy będziesz uważała to za konieczne.

- Ale jak to! Benjamin! Jeśli tak to odbierasz, to dla Marion będzie to nie do zniesienia.

- To ty będziesz za to odpowiedzialna. Dobranoc.

- Benjamin! Wróć! Spróbuj mnie zrozumieć, wysił się...

- Ty pierwsza.

Wychodzę.

Jestem sam w pokoju. Wsłuchuję się w ciszę i w cały ten zgiełk w moim mózgu.

A jeśli moja strategia się nie sprawdzi? A jeśli...

Ledwie zostałem sam, a już moja strażniczka dołącza do mnie. I próbuje mnie uwieść.

Jej ręce na mojej skórze zadają mi ból. Chciałbym innych rąk. Sprawiają mi taką szaloną przyjemność. Sama myśl o powrocie do gimnastyki seksualnej, brutalnej, bez wdzięku i bez pragnienia, budzi we mnie odrazę. Nigdy więcej.

Nie chcę więcej tych rąk na sobie, nigdy. Nigdy, nigdy, nigdy.

- Benjamin, pogódźmy się... Chodź, to już miesiąc, jak... mam ochotę...

- Ja nie. Dobranoc.

- Ale gdzie ty idziesz?

- Idę spać na kanapie.

- Nie! Zostań! Potrzebuję cię, gdybyś wiedział... Nie możesz mi tego zrobić...

Słyszę głos, który słabnie, który drży, zwiastuje lży. Słyszę dobrze i wcale mnie to nie wzrusza. Albo raczej działa na mnie tak, że upewnia mnie w moim przekonaniu. W moim planie.

Zamykam drzwi, kiedy zaczyna się powódź. Płacze, głośno płacze, strasznie płacze, przesadnie płacze.

Niech jej wyjdzie na zdrowie.

Wyciągam się na kanapie.

Czekam, aż ustaną szlochy. Trwa to długo. Najpierw zmieniają rytm, stają się coraz rzadsze, słabną, zacierają się. Po czym zaczynają się na nowo - druga fala. Wszystko zaczyna się na nowo... Po czym następuje trzecia fala, identyczna, i czwarta. Piąta jest ostatnią.

Mówię sobie, że usłyszę tę muzykę jeszcze wiele razy...

Jak długo? Ile tygodni, ile miesięcy minie, zanim moja strażniczka ustąpi i odda mi klucze? Ledwie śmiem o tym myśleć: ile lat?

Otula mnie cisza, słucham jej jak najpiękniejszej muzyki.

Kiedy jestem pewien, że dyrektorka śpi jak zabita - ten atak musiał ją wyczerpać - wstaję, skradam się na palcach jak kot. Przypomina mi to dzieciństwo. Kiedy byłem dzieckiem, myślałem, że kiedy jest się dorosłym, jest się w końcu wolnym. Nie wyobrażałem sobie, że zamknę samego siebie w dziwnym więzieniu z piękną strażniczką....

Zamykam się w łazience i siedząc na podłodze - tak lubię - wystukuję numer na klawiaturze telefonu komórkowego.

Tym razem nie spędzam nocy poza domem, ale przyrzekam sobie, że będę uciekał najczęściej, jak to będzie możliwe... Że będę przeskakiwał mur. Że będę się wymykał. Wyobrażam sobie siebie wracającego nad ranem, kiedy pojawiają się zmiatacze ulic i piekarze, wślizgującego się bez szelestnie do domu, z żalem biorącego prysznic usuwający ze skóry zapach innej skóry, przygotowującego sobie śniadanie i budzącego Marion. A to wszystko dopóki...

Kiedy dyrektorce zdzudzi się pracownik najniższego szczebla zbuntowany przeciwko regulaminowi - personel nie jest już taki jak dawniej - zdecyduje się go zwolnić.

Być może drobny pracownik zostanie zastąpiony wcześniej kimś chętnym, dużo mniej zgryźliwym? W końcu ten rysownik jest fajny, nie całkiem dorobiony, ale bardzo sympatyczny... Miłosierdzie nakazywałoby go przestrzec.

- Benjamin? To ty?

Wymawia moje imię...

Przysiąc by można, że ten głos należy do milej osoby. A także wolnej osoby.

Głos Sarah jest tak przyjemny, że trudno jest mi odpowiedzieć coś niemiłego. To mało eleganckie...

Szpeczę, mruczę, konspiruję...

Dochodzę do kanapy w środku nocy. Przez ile nocy?...

Mam współniczkę. Myślę o niej i czuję się spokojniejszy, niemal pogodny. Przypominam sobie to uczucie pustki, które często mnie ogarniało, uczucie bycia niczym... Mogło trwać całe życie. Powinno trwać całe życie. Niewiele brakowało.

Oddycham głęboko i delektuję się powietrzem, którym oddycham. Jestem żywy. Mam wrażenie, przejmujące, oszałamiające wrażenie, że ledwo uniknąłem poważnego niebezpieczeństwa.

Nagle czuję dreszcze na plecach: co stałoby się ze mną, gdyby nie ława, gdyby nie Plutarch i Sarah?

To tak, jakby te trzy wydarzenia były ze sobą powiązane dziwną logiką: bez ławy przeszedłbym obok Plutarcha, bez Plutarcha przeszedłbym obok Sarah.

Czuję w sobie życie, tę chęć życia, której ślad kiedyś zgubiłem.

Tak niewiele brakowało.

Test - zabawa: Jak ma się twój związek? Czy jesteście zwyczajną parą?

Przy każdym pytaniu wybierz odpowiedź, która odpowiada ci najbardziej. Uwaga: nie oszukuj, ten test wykrywa i poprawia nie szczerze odpowiedzi. Na końcu testu zostaną ci zaproponowane rady mające na celu poprawę komfortu twojego codziennego życia, zdrowia psychicznego... a także zdrowia twojego otoczenia.

Wykonanie tego testu z partnerem i skonfrontowanie go z jego wynikami może być zabawne - uchylamy się jednak od wszelkiej odpowiedzialności, jeśli chodzi o konsekwencje, ja kie mogłoby to za sobą pociągnąć. Badania wykazują, że po konfrontacji wyników co druga para decyduje się na wielkie zmiany.

1) Ile razy w tygodniu jecie pizzę?

- A: raz
- B: dwa razy
- C: trzy razy

2) Czy prosisz współmałżonka o kupienie apteki (bądź jakiegokolwiek innego sklepu odpowiadającego jego/ jej kwalifikacjom zawodowym)?

- A: Nie, to on/ona decyduje, czy ma na to ochotę.
- B: Zrezygnowałam/em z tego, ten/ta imbecyl/ka o niczym nie chce słyszeć!
- C: Tak, on/ona w końcu się zdecyduje, a jakże!

3) Czy przewracasz oczami, kiedy twój mąż/twoja żona do ciebie mówi?

- A: Nie, zbyt go/ją szanuję, więc uśmiecham się do niego/niej.
- B: Zdarza mi się, ten/ta imbecyl/ka wygaduje takie bzdury!
- C: A co mam się krępować!

4) Czy kiedy twój współmałżonek do ciebie mówi, wzruszasz ramionami?

- A: Nie, nigdy! Za bardzo go/ją kocham, żeby tak robić!
- B: Zdarza mi się, ta niedołęga wygaduje takie bzdury!
- C: A co mam się krępować!

5) Krzyczysz albo wybuchasz płaczem, kiedy twój mąż/ twoja żona cię denerwuje?

- A: Nie, próbuję postawić się na jego/jej miejscu i go/ją zrozumieć.
- B: Pewnie! To jedyna rzecz, jaka do niego/niej dociera!
- C: Nie krzyczę, przeklinam. Jeśli płaczę, to jego/jej wina!

6) Kto z was kieruje samochodem?

- A: To zależy kiedy, decydujemy o tym razem.
- B: Oczywiście, że ja. A dlaczego? Obawiam się o swój samochód!
- C: Oczywiście ja, nie mam ochoty zginąć!

7) Kiedy się kochacie, które z was decyduje o tym, co się dzieje?

- A: Decydujemy o tym razem, z miłością i szacunkiem!
- B: No ja, a czemu? Nie rozumiem tego pytania.
- C: Ja! Inaczej pieprzylibyśmy się jak króliki!

8) Jak komunikujesz się z mężem/żoną?

- A: Wymieniamy opinie, to bardzo ważne!
- B: Staram się dużo rozmawiać, ale on/ona jest do tego niezdolny/a!
- C: Ja decyduję, a on/ona wykonuje polecenia, to jasne!

9) Czy sądzisz, że lektura książki może zmienić czyjeś życie?

- A: O tak! Lektura to ważna rzecz!
- B: To zmienia przede wszystkim życie pisarzy i wydawców...
- C: Nie bardzo... Jeśli jest się ograniczonym, to się takim pozostaje!

10) Jak wyobrażasz sobie zerwanie z mężem/zoną?

- A: Moje życie nie miałyby sensu, byłoby pozbawione smaku, pikanterii...
- B: Lepiej dla tego/tej imbecyla/imbecylki, żeby mi tego nie robił/a!
- C: Powiedziałabym/powiedziałbym: uff, co za ulga, następny/a!

Wynik testu

1) Większość odpowiedzi A: profil A

Wydaje ci się, że znasz dobre odpowiedzi i odhaczasz to, co pozwoli ci, jak sądzisz, potwierdzić korzystny obraz same go siebie. Otóż wykrywacz nieszczerych intencji przejrzał cię (uprzedzaliśmy) i jest bezlitosny: oszukiwałeś. Konkluzja: twój związek ma się bardzo źle, jest bardzo chory; współmałżonek bardzo cierpi z powodu tej nieszczerości, wcześniej lub później przeczyta Plutarcha albo jakąkolwiek inną książkę, która otworzy mu (jej) oczy (na przykład *Zwyczajną parę*). Wówczas cię porzuci... Chyba że weźmiesz się za siebie już teraz - zobacz dalej.

2) Większość odpowiedzi B: profil B

Idź się schować! Naprawdę chcesz wiedzieć? Dostrzegasz tylko swój punkt widzenia, myślisz, że zawsze masz rację, jesteś nieznośny/a! Twoje zachowanie graniczy z psychicznym znęcaniem się. Twój związek jest konający. Jeśli nie rozstaniesz się szybko ze współmałżonkiem, będzie to nieudzieleniem po mocy osobie w niebezpieczeństwie. Chyba że... zostaje ci jedna szansa, ostatnia, wzięcia się w garść - zobacz dalej.

3) Większość odpowiedzi C: profil C

I nawet się nie wstydzisz? Umiesz być szczerzy... ale to jedyna twoja zaleta. Cechuje cię duża brutalność i brak świadomości. Twój współmałżonek powinien dostać order za to, że znosił cię do tej pory - długo już nie wytrzyma. Twój związek jest już martwy. Przyjmij

najszczerze kondolencje (sam/a się o to prosiłeś/aś). Zawsze jednak możliwy jest cud, jeśli zgodzisz się zmienić sposób bycia - zobacz dalej.

4) Tyle samo A, B i C

To niemożliwe: na dziesięć pytań nie możesz otrzymać po równo A, B i C. Ale możesz reprezentować dwa profile jednocześnie: w takim przypadku odnosi się do ciebie każdy z nich (jeśli nie rozumiesz, naucz się liczyć). Dwa profile oznaczają uczciwość, chociaż wykrywacz nieszczerych intencji oskarża cię, że chciałeś/aś go oszukać. Nie słuchaj go, plecie bzdury. A jednak twój związek jest w niebezpieczeństwie: nie wiesz, jaką postawę przyjąć i twój związek jest chwiejny. Najwyższy czas zareagować, do licha! Przeczytaj rady.

Jak uratować związek

1) Przeczytaj książkę *Zwyczajna para*.

Rozpoznasz w niej zachowania, postawy, myśli i towarzystwo, które szkodzą związkowi. W dodatku będziesz dobrze się bawić... przyznaj, że troszczymy się o ciebie.

2) Przeczytaj jeszcze raz *Zwyczajną parę*.

Tak, znamy cię, czytając po raz pierwszy, dobrze się uśmiełeś, ale niczego nie zapamiętałeś. Ponowna lektura książki będzie miała na celu dokonanie zmian: rozpoznasz to, co chcesz u siebie zmienić... albo postanowisz zmienić męża/żonę. Decyzja należy do ciebie, jesteś za nią odpowiedzialny i nie będziemy wywierać na ciebie wpływu. Chociaż... jeśli twoja współmałżonka przypomina Béatrice, lepiej zrobisz, uciekając od niej, ale masz prawo być masochistą, pod warunkiem że masz tego pełną świadomość.

3) Podaruj *Zwyczajną parę* parom, które przypominają bohaterów tej książki.

No a jak, przecież nie zachowasz dla siebie wszystkiego, czego się nauczyłeś. To byłby egoizm, który do ciebie nie pasuje- po dwukrotnym

jej przeczytaniu staniesz się bardziej otwarty/a na innych, to skutek uboczny.

4) Podaruj *Zwyczajną parę* parom, które nie przypominają (albo jeszcze nie przypominają) pary z tej książki.

Nigdy nic nie wiadomo. Lepiej zapobiegać niż leczyć.

5) Poproś swojego aptekarza o sprzedanie *Zwyczajnej pary*.

To jest książka zdrowia publicznego - a ponieważ Benjamin, jej bohater, sam jest farmaceutą, będzie to akcja solidarnościowa kolegów.

6) Podaruj *Zwyczajną parę* samotnym, którzy czują się z tego powodu szczęśliwi.

Stworzycie im okazję do zweryfikowania przekonania, że lepiej jest być samemu niż w złym towarzystwie, będą wam za to wdzięczni i wasza przyjaźń zostanie umocniona.

7) Podaruj *Zwyczajną parę* samotnym, zrozpaczonym z tego powodu.

Zrozumieją wreszcie, że lepiej być samemu niż w złym towarzystwie, będą wam za to wdzięczni, etc., etc.

8) Zakup na nowo *Zwyczajną parę*.

W miarę pożyczania jej wszystkim dookoła, zgubisz ją, a przecież będziesz odczuwał potrzebę zachowania przy sobie jej pokrzepiającej obecności.

9) Przeczytaj Plutarcha.

Zwyczajna para na pewno cię do tego zachęci.

10) Wykonaj jeszcze raz powyższy test, skonstatuj swoją ewolucję i pogratuluj sobie: brawo!